

Wpisano do kalendarza przedruk  
10 Rejonu...  
19. XI 1960

# Odgłosy

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok III. ŁÓDŹ. 20 listopada 1960 r.  
Nr 46 (142) Cena 1 zł

JERZY ŁAŃCUT

## Z kaukaskiego notatnika

Od specjalnego korespondenta „Odgłosów“

Zimy prawie tu nie ma. W grudniu kwitną fiołki, w styczniu — róże, w początku marca rozkwitają drzewa migdałowe. Palmy rosną tuż nad brzegiem rwących rzek, wypływających z górskich lodowców. Obok nagich skał leży urodzajna ziemia. W jednym miejscu przestrzenie spalone słońcem, w innym — wilgotne dżungle.

Ten kraj w swoim ojczystym języku nazywa się — SAKARTWELO. Po polsku oznacza to — GRUZJA.

Przejechałem blisko 4.000 kilometrów lotu. Jestem w stolicy kraju, do którego bardzo często (i słusznie) dodaje się przymiotnik „słoneczny”. Jest październik, a tu słońce zalewa piękne ulice. Niezliczone drzewa — palmy, cyprysy i kasztany — połyskują soczystą zielenią, a barwny tłum wypełnia głośnym gwarem główną arterię miasta — prospekt imienia Rustaweli. Jeźdźnia sunie potok samochodów. Przeważnie „Wołgi” i „ZIM-y”, nieco mniej „Moskwiczów” oraz na jasny kolor pomalowane autobusy i trolejbusy. Wszystko to mknie szybko, o wiele szybciej aniżeli w naszym kraju. Migają regularnie sygnały świetlne, milicjantów w ogóle nie widać. A mimo to — a może właśnie dlatego? — duża dyscyplina na jezdni. Przechodniów i kierowców. Choć

ci ostatni jeżdżą, moim zdaniem, po szatańsku. Wiadomo — gruziński temperament...

### URODA OBOWIĄZUJE WSZĘDZIE

Ale tu, w Tbilisi, (później przekonałem się, że niemal w całej Gruzji) chyba najbardziej. Przystojne i śliczne, smukłe dziewczęta o dużych ciemnych oczach. Wysocki, szczupli mężczyźni o

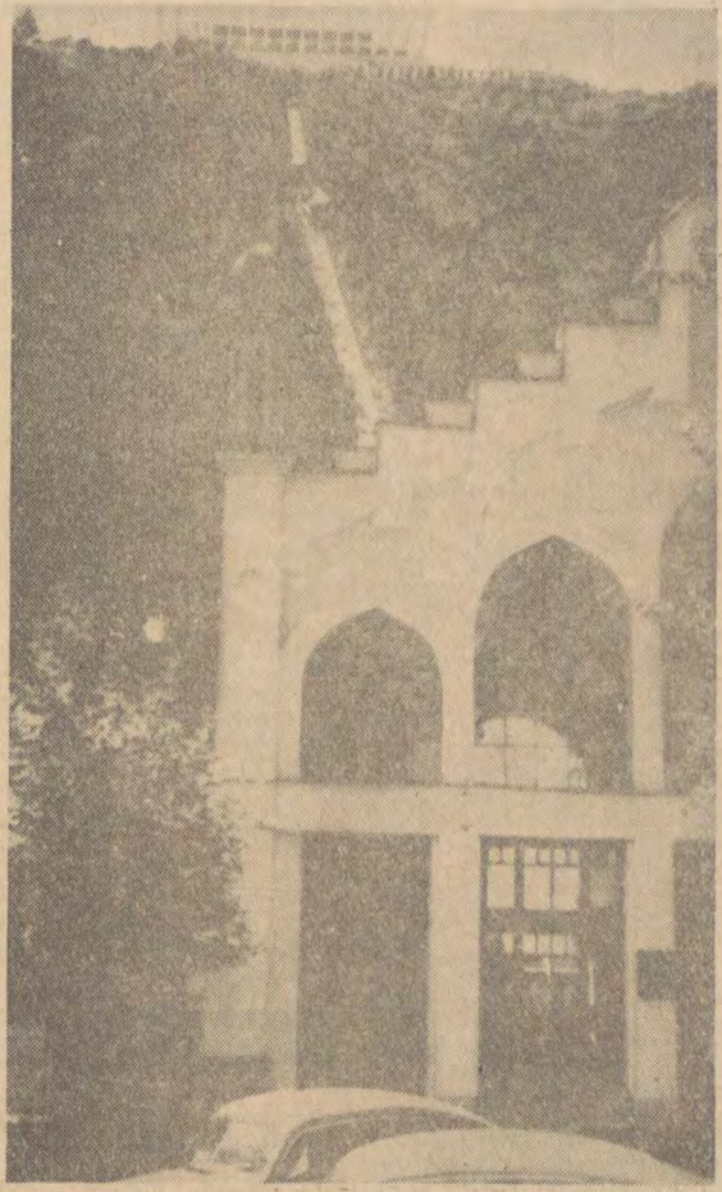
Dalszy ciąg na str. 6



Geniusz poezji, bohater narodu gruzińskiego — Szota Rustaweli spogląda z wysockiego postumentu na prospekt nazwany swoim imieniem, piękny, jasny i wdzięczny jak wiersze poematu „Witeź w tygrysiej skórze“



...są urocze. Przeważnie silne brunetki, choć zdarzają się autentyczne blondynki. Mają ogromne oczy i są... nieprzystępne.



Kopuła cerkwi na Mtschinda. Na górze śc. Dawida uśpionego — Pantheon. U stóp jego grobu poetę Gribojedowa i jego żony Niny Czaurczauadze

**KAROL BADZIAK**

**TAJEMNICA**

Rozdział pierwszy w którym poznajemy legendę o bursztynie

*Bursztynowej komnaty*

Poeci greccy opowiadają, że bursztyn powstał z łez dziewczyny, Faeton, syn greckiego boga słońca — Heliosa, chciał kierować zaprzęgiem ciągnącym rydwan słoneczny. Niestety, miał zbyt słabe dłonie, a żeby utrzymać na wodzy cztery białe rumaki i wóz pełen ognia wyskoczył ze swej orbity, zbliżając się szybko do ziemi. Kiedy to spostrzegł gniewny Zeus, promem strącił Faetona z wozu i położył kres opętanej jeździe po niebieskich szlakach. Kara dosięgła również siostrę Faetona — Heljadę. Zaprzęgała ona rumaki słoneczne do wozu i pomagała Faetonowi w przygotowaniach do zabronionej jazdy. Heljadę zmieniona została w topole, a jej łzy skamieniały w twarde bursztyny.

W mieście tym manifestuje się wiara, że bursztyn jest „rosą” drzewa. Legendy i klechdy jakie się wokół bursztynu rodziły i krążyły wśród ludu, zawsze miały w sobie jakąś dziwną aurę niesamowitości. Wiele dawnych wyobrażeń związanych z bursztynem do dzisiaj nie zostało wyjaśnionych.

Czy zostanie jednak rozwikłana zagadka słynnej „bursztynowej komnaty” zrabowanej przez hitlerowców z Carskiego Siola, ukrytej podobno gdzieś na naszych ziemiach i do dziś nie odnalezionej?

Ostatnio, dość szeroko rozpisywała się o tym prasa. Spróbowałismy zbadać zagadkę „bursztynowej komnaty” i udało się nam uzyskać wiele nowych i szczegółowych informacji. Oto historia prawdziwa, a przecież pasjonująca jak sensacyjna powieść. Posłuchajcie...

Rozdział drugi w którym poznajemy historię „bursztynowej komnaty“

Jest 6 kwietnia 1945 roku. Wojska radzieckie zbliżają się w szybkim tempie do Królewca. Płonące miasto szturmują zwycięzcy. Miasto otoczone żelaznym pierścieniem dogorywa. Jedyne wąskie ścieżki ucieczki prowadzą ku otwartemu morzu.

W królewieckim zamku biwakują zmrożone panicznym lękiem ostatnie niemieckie oddziały. Na śliskich, marmurowych posadzkach zamkowych sal żołnierze potykają się o starannie zapakowane skrzynie. Zaden z nich nie wie jaki skarb one w sobie mieszczą...

Historia tego skarbu liczy sobie wiele dziesiątków lat. Sięga aż roku 1701. Wtedy to na rozkaz pruskiego króla Fryderyka I, najlepsze kawałki bursztynu znalezione w Samland musiały być dostarczane do Berlina. Tutaj dwóch mistrzów gdańskich, Turan i Schaft, otrzymało polecenie obróbki bursztynu. Architekt Schlüter i majster Tusso przystąpili do wykonania z tego bursztynu komnaty narożnej w zamku pozdamskim. Mieścił się tam gabinet królewski.

Komnata ta była kompozycja z płyt bursztynowych o powierzchni 55 m kw. Znajdowały się w nich reliefy przedstawiające sceny alegoryczne, obrazki z życia rybaków, herby królewskie i pejzaże. Niektóre rzeźby były tak misternie wykonane, że oglądano je przez powiększające szkło.

(Dalszy ciąg na str. 3)



**Na Dzień Nauczyciela — czytaj na str. 5**



## JACEK LEBEN

Każdy niezbyt zarozumiały obserwator wydarzeń międzynarodowych zapytany o to jaka będzie polityka nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych musi odpowiedzieć „nie wiem”. Musi, dlatego, że system polityczny Stanów Zjednoczonych zupełnie odbiega od bliskich nam wzorów. Rzecz polega na tym, że obie wielkie partie polityczne republikańska i demokratyczna nie są partiami o skryształizowanym programie, stanowią zlepek zupełnie różnych tendencji, przeciwstawnych sobie nie raz. Na przykład na partię demokratyczną głosują najbardziej krańcowi rasisci z Południa i Murzyni z wielkich miast Północy, biedna ludność chicagowskiej metropolii obok wielkich potentatów finansowych, portorykańscy i włosi zepchnięci na dno społecznej drabiny, i intelektualna śmietanka irlandzkiego i angielskiego pochodzenia. Na domiar złego nowo wybrany prezydent nie jest wcale zobowiązany do realizowania programu wyborczego luźno precyzowanego w czasie konwencji partyjnych. Można wysuwać wiele powodów usprawiedliwiających twierdzenie „nie wiem”. Ale że komentować w ten sposób pisać nie można, a polityczny komentator żyje z politycznych spekulacji, powinien więc przedłożyć swoim czytelnikom pewną liczbę propozycji do przemyślenia, co też i ja spróbuję uczynić.

Nie ulega wątpliwości, że Richard Nixon miał, mówiąc językiem sportowym, wiele długości przewagi nad swym konkurentem. Prezydent Eisenhower, traktowany przez wielu Amerykanów jako „ojciec narodu”, rzucił na wybory szalę wicepreziden-

ta Nixona cały ciężar swego autorytetu. To zapewniło wiele głosów.

Richard Nixon jest protestantem, Kennedy katolikiem. W Stanach Zjednoczonych przy protestanckiej większości nigdy jeszcze katolik nie został prezydentem Stanów Zjednoczonych. To znów oznacza wiele głosów na rzecz Nixona.

Nixon to doświadczony polityk, znany w całym Stanach, najbliższy współpracownik Eisenhowera. Znana jest zasada, że „na wirażu nie zmienia się konia”. To działało na rzecz Nixona.

Nixon mówił, że wszystko jest dobrze, że prestiż Stanów nigdy nie był tak wysoki jak dzisiaj, liczył na krymitywizm amerykańskich wyborców, Kennedy był mniej demagogiczny, twierdził, że nie jest dobrze, że prestiż Stanów Zjednoczonych zmalał, że trzeba wyrwać USA z ośmioletniej drzemki. Wygodniej jest wierzyć, że wszystko jest dobrze, niż w to, że nie jest dobrze. Złazcza, że Amerykanie przyzwyczajeni są do tego, że jest dobrze.

Jeżeli mimo tych czterech wyliczonych długości przewagi zwyciężył John Kennedy, stanowi to dowód, że krytycyzm społeczeństwa amerykańskiego w stosunku

nomistów, pisarzy, publicystów. To ma znaczenie, to może pomóc Kennedy'emu w spojrzeniu na świat.

Kennedy w odróżnieniu od Nixona nie jest oportunistą, jest politykiem, który lubi narzucać swoją wolę, kształtować bieg wydarzeń, a nie tylko za nimi nadążać i utrzymywać się na fali.

Ma on wreszcie białą kartę. Nie ponosi odpowiedzialności za dotychczasową politykę Stanów. Nie trzymają go w ryzach jej dotychczasowe błędy i prestiżowe bariery.

W jakim stopniu te jego osobiste walory i obiektywne możliwości dadzą o sobie znać w czasie 4-letniej prezydentury stanowi w tej chwili wielką niewiadomą. Wąski margines głosów, jakim Kennedy zwyciężył, daje niemal całą prasie amerykańskiej odskocznice do podkreślenia, że nowy prezydent nie otrzymał mandatu do przeprowadzenia jakichkolwiek drastycznych zmian w polityce wewnętrznej czy zagranicznej. Powszechnie przypuszczają się, że wiceprezydent Lyndon Johnson będzie „hamował” zapędy Kennedy'ego. Kampania prasowa jest formą wywierania na niego presji. „Christian Science Monitor” przewiduje już, że „nastąpią zmiany, ale nie będą



„Zwycięska” para: Kennedy z żoną

zdażył oświadczyć, że nie o tym nie wie. W każdym razie można spodziewać się, że wczesną wiosną masowego przylotu bońskich ptaków na ziemię amerykańską. W jakim stopniu chłód wiejący z Bonn skuje Kennedy'ego to również sprawa otwarta.

Kennedy jest rzecznikiem

za gratulacji. Została w niej wyrażona nadzieja, że w drodze rokowań zostaną rozwiązane sporne problemy stające przed światem na krawędzi wojny. Korespondent AP Hightower stwierdza „przyjazny ton depeszy gratulacyjnej wysłanej przez Chruszczowa zdaje się ozna-

Wysłanie tego rodzaju depeszy w takiej właśnie chwili stanowi widomy dowód konsekwencji Związku Radzieckiego w realizowaniu polityki pokojowego współistnienia, w dążności do konstruktywnych rozmów z mocarstwami zachodnimi.

Jeżeli John Kennedy wyjdzie w pewnym stopniu na przeciw tym tendencjom, to będzie to można uznać za pozytywny początek nowego cyklu w polityce amerykańskiej.

Czekamy więc na „pierwsze 100 dni” licząc od 20 stycznia, kiedy to nowy prezydent USA obejmie urządowanie w Białym Domu.

# W oczekiwaniu na pierwsze „100 dni”

do dotychczasowej polityki republikańskiej administracji był znacznie większy, niż powszechnie sądzono. Młodość, brak rutyny w sprawach międzynarodowych, czynniki, które w normalnych warunkach działałyby na niekorzyść Kennedy'ego, w tych warunkach zadziałały na jego korzyść. Większość społeczeństwa amerykańskiego wybrała prezydenta z białą kartą, który ich zdaniem, ma większe szanse wyprowadzić Stany z impasu.

Kennedy jest młody, zaskakująco młody, jak na polityka tego formatu. Mógłby być synem Macmillana de Gaulle'a a w wnukiem Adenauera. Jest więc człowiekiem XX wieku i można się spodziewać, że lepiej rozumie współczesny świat i jego układ sił.

Kennedy w odróżnieniu od wszystkich prezydentów Stanów Zjednoczonych ma w swym najbliższym otoczeniu nie businessmenów i wojskowych, ale intelektualistów: wybitnych profesorów, eko-

one dotyczące zasad i regulaminu gry, ale składu drużyny”.

Można jednak przypuszczać, że nastąpią przesunięcia w uwadze, jaką Stany Zjednoczone przywiązują do poszczególnych rejonów wielkiej polityki. Wyraźne zaniepokojenie panuje w Bonn. Kanclerz Adenauer jeszcze w kwietniu oświadczył, że obawia się młodości Kennedy'ego. Jego niedoświadczenia. Wiele uwagi poświęca się w Bonn osobie przyszłego sekretarza Stanu. Panuje tam przekonanie, że bez względu na to, czy przyszłym sekretarzem Stanu zostanie Stevenson, Harriman, Bowles, czy też Black, to era dulesowska w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, definitywnie się skończyła. Kanclerz Adenauer już się spieszył z wyjazdem do Waszyngtonu. Oświadczył już, że wyjedzie za Atlantyk w połowie marca na konferencję Towarzystwa Niemiecko-Amerykańskiego. Kennedy

bardziej realistycznego spojrzenia na kwestię chińską. Daje on do zrozumienia, że Stany Zjednoczone, powinny uznać dwa państwa chińskie, uważa również, że w rozmowach rozbrojeniowych należy się uczestniczyć Chinom. Oświadczył wielokrotnie, że jeżeli nacjonaliści wycofają swe wojska z Quemoy i Matsu, to przysłuży się to sprawie pokoju. Wiadomo jednak, że istnieje w Stanach Zjednoczonych potężna „Chinalobby”. Czy Kennedy ośmieli się rzucić jej wyzwanie, czy będzie go na stać?

Takich znaków zapytania można postawić więcej. Wydaje się, że „pierwsze 100 dni” rządów Kennedy'ego dadzą w znacznej mierze odpowiedź na wiele z tych pytań.

Premier Związku Radzieckiego Chruszczow zareagował natchemiasz na wybór nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych. Depesza premiera Chruszczowa zawierała coś więcej ponad zdawkowe slo-

wać, iż przywódca radziecki gotowy jest wznowić aktywność, zakrojone na szeroką skalę rokowania z nową administracją amerykańską na temat różnych problemów”.



„Przeigrana” para: Nixon z żoną

# MINAŁ TYDZIEŃ WYPRAWA OPATA BRANDANA

Poezja jest chlebem powszednim, pod tym hasłem w roku 1957 odbył się w Poznaniu pierwszy Festiwal Młodej Poezji Polskiej, od tego czasu minęły 4 lata i oto mieliśmy już czwarty Festiwal i poezja nadal nie jest chlebem powszednim. Przeciwnie, to towar rzadki a poszukiwany, towar dla wybranych, a wybranych jest 100, a może 200, i każdy z nich jest poetą, i każdy może liczyć na 99, a może 199 czytelników, z których każdy jest poetą. Przesadzam oczywiście. Les współczesnego poety jest przecież, mimo wszystko, dość smutny. Przynajmniej tak smutny, jak los

opata Brandana, proszę, oto opowieść o opacie.

Dawno temu, przed wiekami, kiedy Ziemia była jeszcze płaską tarczą, którą dźwigały żółwie, opat Brandan — jak poucza nas historia odkrył geograficznych — postawił żagle i popłynął przez ocean, by szukać Ziemi Obiecanej. Podróż trwała wiele lat, miały miesiące, a może wieki, w rodzinnym kraju zapomniano już o szalonym opacie, gdy pewnego dnia na horyzoncie ukazał się statek. Brandan powrócił, na krańcach Ziemi, jak mówił, widział ruchomą wyspę, którą unosił na grzbiecie potężny wioślak. Na wyspie mieszkali

ludzie o trzech głowach, była to więc z pewnością Ziemia Obiecana. Rodacy nie uwierzyli Brandanowi, chichotali, gdy pokazał się na ulicy, ale miały miesiące, śmiech milknął, i imię opata zostało ponownie zapomniane.

Tu kończy się opowieść, los szalonego Brandana podobny jest niewątpliwie do losu współczesnego poety, ten także postanawia odnaleźć Ziemię Obiecana i wypływa za ocean. Mijają miesiące i imię jego zostaje zapomniane. Ale oto poeta powraca, odkryłem, mówi, nową metaforę, słowa, które wam przynoszę, mówi, mogą was ocalić. Niestety, nikt nie rozumie słów poety, rodacy chichoczą za jego plecami, albo co gorsza, śmieją mu się w twarz, ty oszuście, krzyczą, chciałbyś być Asnykłem, ale nigdy nim nie będziesz, ty parszywy nadrealista. I poeta, zniechęcony, odchodzi, ten wiek, myśli, jest wiekiem praktycznego rozumu, nie ma w nim miejsca dla poety, nikt mnie nie potrzebuje, popłynę więc raz jeszcze szlakiem opata Brandana.

Tu kończy się opowieść. Nie usprawiedliwiam poety, proszę go wszakże zrozumieć, wiek, w którym przyszło mu żyć, naprawdę nie należy do zbyt uprzejmych, nakłada obowiązki, niekiedy dość trudne, obowiązek zwalczania otaczającej nas

próżni obok obowiązku myślenia o czytelniku, obowiązek dokonywania zmian w toku wiersza obok obowiązku korzystania z nowych wynalazków w dziedzinie przekazywania słowa. Poeta jest nieprzygotowany, wciąż jeszcze chciałby grać rolę opata Brandana, kino, powiada, jest dziełem szatanu, taśma magnetofonowa, to waży jadłowity, telewizja to molocho, golem, potwór, szczerzący zęby pożeracz netykalnych skarbów ducha ludzkiego, płynny, powiada, ku wspomnieniu jeszcze nie odkrytym, tam będziemy rozmawiać z uczonymi kołami, tam mądre delfiny będą śpiewać nam do snu.

Tak myśli poeta, niestety, nie tylko on, podobnie myślał ludzie kina i ludzie telewizji, i ludzie radia, poeci, myślał, niech płyną ku wyspom jeszcze nie odkrytym, niech im tam, myślał, mądre delfiny śpiewają do snu, a zanim poeci powrócą (oby zaspali, oby nigdy nie powrócili!) my sobie tutaj, w świecie twardych konieczności, troszeczkę pochałurzymy, koncercik rozrywkowy nadamy, piosenkę o księżycu co jak rybka w obłokach płynie odśpiewamy, kilka dowcipów opowiemy, komedię do śmiechu albo i co do placzu narzucimy, widza i słuchacza naszego kochanego ludowego zdoberdziemy. Nic nam po poetach, my co prawda każdego wieczoru do poduszki

wierszyki ekskluzywne albo co gorsza nadrealistyczne sobie czytamy, ale nasz słuchacz, nasz czytelnik, nasz klient, nasz masowy pan, poetów słuchać nie chce i nie będzie.

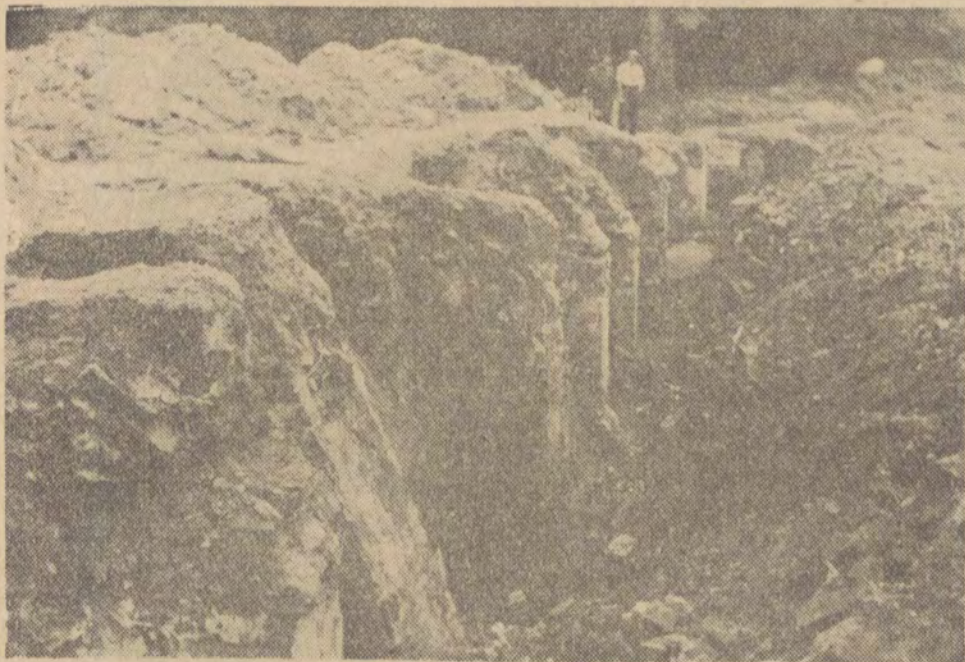
Tak myślą ludzie kina i ludzie telewizji, w ich rękach są kamery, oni rządzą w studiach (i w kawaleriach), do nich należy wybór i decyzja, do nich należy królestwo kultury masowej, do nich i do ich Matysiaków, Joe Alexów, Zylskich, Anatolów i Gniatkovskich.

Znam wszakże poetów trzęsących i upartych, ci, niebojątni na szansę, jaką dają pisarzowi środki transmisyj masowej, wieczorami wypływają ku wyspom nieznanym, a rano powracają i biegają do rozgłośni radiowych albo do redakcji telewizyjnych, pełni nadziei, że będzie im dane twarz swoją milionem widzów pokazać, lub choćby wiersz przed mikrofonem odczytać. To się zdarza, koncesje, jakich skłonni są udzielać upartym poetom redaktorzy telewizji i radia, są jednak niewielkie, i nie w tym dziwnego, poeci bowiem, jak wiadomo, odżywiają się kwiatami i brak im sił, by walczyć na pięści z krzepakami, chowanymi na żurku i kapuście, chłopkami ze wsi Jeziorany. A ponieważ na wyspach nieznanych można żyć, jak mówią od-

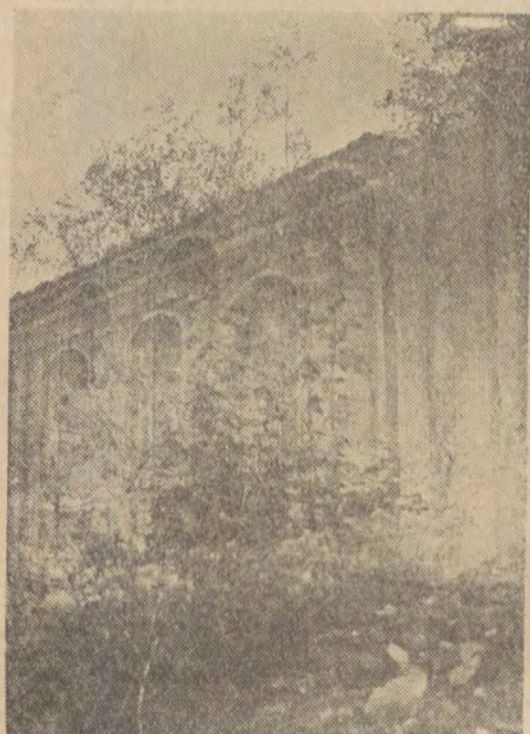
krywey, nawet samym powietrzem — tak słodkie tam ono jest i tak odurzające — poeci znów odpływają szlakiem opata Brandana.

Nie wszędzie tak bywa, są kraje, w których głos poety nagrywa się na płyty, by szary przechodzień mógł wejść do sklepu i kupić taką płytę i potem w swoim mieszkaniu rozmawiać z poetą, są kraje, w których poeta staje przed kamerami, w świetle reflektorów, i tysiące albo miliony ludzi mogą go oglądać na małych ekranach. Za chwilę, być może, będą patrzeć na reklamę pasty do zębów, albo na reportaż z meczu bokserkiego, nie umniejsza to godności poety, szczególnie to kraje, w których pasta do zębów i poezja są artykułami pierwszej potrzeby. W tych krajach obiecano poetom królestwo kultury masowej (nie sądzę, by ktokolwiek mógł nim wzgardzić), u nas, jak się rzekło, królestwo to należy — już należy! — do bohaterów „Kobry” i powieści radiowych. Ostrzegam więc, nie zapominajcie o poetach, za chwilę będzie za późno, jeśli tak dalek pójdzie, to popłynęmy wszyscy szlakiem opata Brandana. Porzucając czytelników, widzów i słuchaczy na pastwę Joe Alexa i Matysiaków.

JAROSŁAW-MAREK RYMKIEWICZ



Przypuszczano, że w tym miejscu ukryto „bursztynową komnatę”. Czy rzeczywiście tutaj, w zamku w Dzikowie znajduje „bursztynowa komnata”?  
Fot. „SAM”



KAROL BADZIAK

# taje- mnica

## bursztynowej komnaty

— 2 —

Osiem lat rzeźbili i malowali artyści swoje dzieło. Z bursztynu były nawet ramy luster i obrazków zawieszonych w komnacie. Wykorzystano wszelkie odcienie bursztynowej miazgi, uzyskując ciepły ton ochry, która przy świetle świec daje specyficzny nastrój nieuchwytej zadumy i nieodgadnionego niepokoju.

Pewnego razu zauważono, że bursztynowe ściany zaczynają się kruszyć, i odpadać. Po bliższym zbadaniu okazało się, że zostały wadliwie zmontowane. Z rozkazu króla aresztowano majstra Tusso i osadzono w więzieniu, zaś architekta Schlütera skazano na banicję.

W roku 1716 car Piotr Wielki na zaproszenie Fryderyka Wilhelma I odwiedza Berlin. Trwała właśnie wojna Północna w Europie i Prusy zainteresowane były w dobrych stosunkach z Rosją, państwem, które w tym czasie dźwigało główny ciężar tych walk. Zwycięstwo Rosjan nad Szwedami pod Poltawą uradowało króla Fryderyka I, dając odetchnąć wojskom pruskim. W swej królewskiej hojności złożył on carowi dyplomatyczny upominek. Była to właśnie bursztynowa komnata.

Cenny dar przeniesiono do Petersburga, tam uzupełniono elementami rokoka. W 1760 roku pokój już był niemal gotów, jednak 6 mistrzów z Królewca: Friedrich i Johann Rogebuch, Clemens i Heinrich Wilhelm, Fietz i Johann Velfendorf jeszcze długie lata nad nim pracowali.

W 1777 roku komnata została dokładnie uzupełniona i na rozkaz carycy Elżbiety, 76 gwardzistów maszerując przez 6 dni przeniosła ją na swoich barkach z Petersburga do Carskiego Sioła, letniej rezydencji carów rosyjskich. Tam została znów zmontowana i ponownie jeszcze raz poddana pewnym zmianom według pomysłu słynnego wówczas architekta Rastrelli.

### Rozdział trzeci

w którym poznajemy Ericha Kocha i innych „Kulturtragerów”

Na początku Drugiej Wojny Światowej w Berlinie przy Herman Goeringstrasse pod numerem 6 umieszczony był sztab specjalnego batalionu. Dowódcą tej tajemniczej jednostki mianowano majora von Künsberga. Przed wyjazdem batalionu na Wschód zapoznano jego skład osobowy ze specjalną instrukcją ministra spraw zagranicznych Rzeszy — Joachima Ribentropa. Instrukcja wyraźnie nakazywała penetrowanie zakładów naukowych, instytucji, bibliotek i muzeów. Wszystko co posiadało jakąkolwiek wartość należało rabować i przewozić do specjalnych punktów zbiorczych w Berlinie, Saksonii i Bawarii.

Inicjatorem tej barbarzyńskiej akcji rabowania dzieł sztuki z podbitych terenów Europy był Alfred Rosenberg, skazany w norimberskim procesie ludobójców na karę śmierci. Człowiek, w którym dominowała nienawiść do słowiańskiego wschodu, do Żydów i chrześcijaństwa — stanął na czele

— 3 —

komórki, mającej za zadanie rabunek i niszczenie najcenniejszych dzieł sztuki podbitych przez hitlerowski faszystowski naród. Od tej chwili wielki dorobek kulturalny całej Europy zdany został na łaskę i nienadziejność hitlerowskich żołdaków.

Druga kompania „specjalnego batalionu” otrzymała zadanie oczyszczenia rejonu w okolicach Leningradu. Było lato 1942 roku i gdy wojska niemieckie oblegały miasto, kompania specjalna przybyła do Puszkina (dawniej Carskie Sioło) 21 km od Leningradu — i wywoziła znajdującą się tam od wieków sławną na cały świat bursztynową komnatę.

Na specjalne polecenie Ericha Kocha rozmontowaną komnatę spakowano do skrzyń i pod bezpośrednią pieczę Generalfeldmarschall Küchlera przetransportowano do muzeum w Królewcu.

Tak więc po Poczdamie, Petersburgu i Carskim Siole — obecnie Królewcu stał się siedzibą tej wędrującej komnaty. Z licznych ośrodków Związku Radzieckiego napływały w tym czasie do Królewca ogromne transporty zrabowanych, bezcennych dzieł rosyjskiej sztuki. Nadeszły również pewnej nocy transporty z Muzeum Charkowskiego, następnie zbiory muzeów kijowskich. W tych ostatnich znajdowało się 98 skrzyń zawierających 800 ikon i obrazów.

Napływ rabowanych skarbów był tak wielki, że niektórych skrzyń do końca wojny nie zdołano rozpakować. Kłopot był także ze znalezieniem odpowiednich pomieszczeń na ulokowanie tej skradzionej masy unikalnych dzieł sztuki.

### Rozdział czwarty

w którym poznajemy dalsze dzieje „bursztynowej komnaty” i wkraczamy na tropy tajemnicy

Erich Koch podobnie jak Goering uważał się za znawcę, smakosza i konesera sztuki. Czynił wszystko, aby zgromadzić w swym mieście jak najwięcej wojennych łupów. Bursztynowa komnata stała się więc także jednym z przedmiotów zaspakajających jego chęć do zbierania hitlerowskich kamratów.

W 1943 roku bursztynową komnatę powierza Koch dyrektorowi Pruskiego Muzeum w Królewcu — dr Rhode. W jednej z sal królewskiego zamku komnata ponownie zostaje zmontowana i latem otwarta ale wyłącznie dla przyjaciół i pretorian gauleitera.

Lecz wtedy właśnie rozpoczynają się naloty alianckich bombowców.

— 4 —

Miasto płonie wieczorami. Podczas jednego z nalotów zostaje uszkodzony zamek. Pożar, który wybuchł w sąsiedniej sali zdołano w porę zlokalizować i ugasić. Tym razem bezcenny skarb jeszcze ocalał...

Na polecenie dyrektora muzeum bursztynowa komnata ponownie ulega rozmontowaniu, już po raz czwarty w swej historii. Następnie pośpiesznie, w ciągu trzech dni zostaje zapakowana w skrzynie, już po raz piąty w swej historii. Skrzynie przez kilka dni stoją na dziedzińcu zamkowym. Dr Rhode każe je przenieść do piwnicy w jednym ze skrzydeł zamku, gdzie mieści się mała restauracja.

3 grudnia 1944 roku następuje tajemniczy wyjazd doktora Rhode. Data powrotu jest nie znana.

12 stycznia 1945 roku bezpośredni zwierzchnik dr Rhode, dr Friese (o którym słuch zaginął) każe skrzynie z bursztynową komnatą przygotować do dalekiej podróży.

4 marca 1945 r. dr Rhode i dr Friese spotykają się z Erichem Kochem. Koch jest na nich wściekły. Brutalnie wygraża obu naukowcom i w ostrej formie żąda wyjaśnień, dlaczego do tej pory komnata bursztynowa nie została wywieziona w głąb Rzeszy. Całej rozmowie przysłuchuje się jedynie właściciel restauracji.

4 kwietnia 1945 roku po południu eksgauleiter Erich Koch rozkazał, aby komnatą zaopiekował się oberbaunstormführer Georg Ringel ze swoim SS Komandó.

5 kwietnia 1945 r. bursztynowy skarb znajduje się jeszcze w królewskim zamku.

6 kwietnia 1945 r. nad ranem następuje szturm wojsk radzieckich na miasto.

7 kwietnia 1945 r. wybuch paniki i następuje osłabienie obrony. Oddziały wojsk radzieckich nieprzerwanie szturmują niemieckie twierdze.

8 kwietnia 1945 r. wojska radzieckie forsują Pregole i podchodzą do zamku. Garnizon niemiecki kapituluje.

9 kwietnia 1945 r. następuje podpisanie kapitulacji Królewca.

10 kwietnia 1945 r. pojawia się znów dr Rhode, którego od 5 dni nikt nie widział. Gdzie był przez ten czas? Po co wrócił do miasta? A może chce nadal strzec zrabowanych skarbów? Czy dr Rhode działa tylko z własnej inicjatywy czy z polecenia wywiadu faszystowskiego? Dlaczego dr Rhode znika zawsze w tajemniczy sposób? Kto go zabił?

**O tym i o dalszych losach zrabowanych dzieł sztuki — w następnym numerze.**



# Cyk! podwojnie ubawisz się...

Zgłosiło się na ochotnika dwunastu panów. Usadzono ich w rogu sali i przed każdym postawiono: przy pierwszym stoliku po pięć kieliszków wódki, przy drugim stoliku — po dziesięć, a przy trzecim — po piętnaście. Zakąski nie podano.

Amatorzy zobowiązali się pić w regularnych odstępach czasu — tak by skomunować wszystko w ciągu godziny — nie rozmawiać i po zakończeniu seansu opuścić cichutko salę.

Ale już po kwadransie przy trzecim stoliku zapanowała hulaśliwa wesołość, a po dalszych piętnastu minutach jeden z biesiadników podszedł chwytliwym krokiem do mównicy i, powołując się na konstytucyjną wolność słowa, zażądał oddania mu głosu dla dokonania prelekcji. Z chwilowego zamieszania skorzystał któryś z rozgłoszonych panów przy pierwszym stoliku, przesiadł się szybko na opróżnione miejsce i czym prędzej zabrał do wypitki. W rezultacie łagodna przemocą udało się wyprowadzić wszystkich. Rzecz, oczywiście, nie działa się w Łodzi. Wydarzyło się to w roku ubiegłym w „Domu Techniki” w Essen.

Tytuł odczytu brzmiał: „Wpływ alkoholu na wypadki przy pracy”.

Widocznie problem taki istnieje nie tylko u nas. W 44 numerze „Odgłosów” all się Jazdyński pisząc „W pijanym widzie” (nie Jazdyński tylko tydzień), że dobry polski moczomorda goli — nie do wiary — dziennie pół litra, że jest takich w kraju do 400 tysięcy że wydaliśmy w 1959 roku około 20 miliardów złotych na

alkohol, że mamy rocznie blisko 17.500 wypadków drogowych, spowodowanych w znacznym stopniu pijanym, że wreszcie w takiej np. Francji pijaków się karze a u nas nie. Nie wspomina zresztą, że we Francji od dawna używa się przysłowia: „pijany jak Polak”.

Istotnie we Francji, w Szwajcarii, w Niemczech nie spotyka się prawie na ulicy osobników zalanych „w pestkę”, urzędników i niebezpiecznych dla otoczenia awanturników, tych, których pospolicie nazywamy pijakami. Ale wcale to nie znaczy, że nie ma tam problemu alkoholizmu.

Przeciwnie, obliczono, że w tej to właśnie Francji, gdzie popija się wino, wypada na główkę obywatela — od niemowlaka do czelgodnej babuni — około 20 litrów rocznie czystego alkoholu. Francuzi w tej konsumpcji przodują bezapelacyjnie. My, z naszymi, w przeliczeniu na spirytus, czterema literkami na głowę znajdujemy się dopiero na ósmej pozycji. Tylko w złopaniu „czystej” nikt nam podobno na świecie nie umie dorównać.

A weźmy dla odmiany Szwajcarów — ten wzór solidności i zrównowżenia. Lekarz genewski dr Ralf Bircher przebadał pacjentów, którzy podawali w ankiety, że nie nadużywają alkoholu. Znalazł w tej grupie ludzi, którzy wypijali dziennie do 60 szklanek piwa, albo do 50 aperitifów, lub też do 12 butelek monego wina. Innymi słowy od 0,75 litra do 1,5 litra czystego spirytusu na dobę. Ale ponieważ nie pijali wódki, nie uważali się za pijaków, twierdzili że piją w miarę.

Co to znaczy w miarę — nikt naprawdę odpowiedzieć nie potrafi. Według badań specjalistów ze Światowej Organizacji Zdrowia organizm przeciętnego dorosłego

człowieka potrzebuje całej godziny czasu na zwalczanie działania jednorazowej dawki od 7 do 11 gramów czystego alkoholu czyli małego kieliszka wódki. Każda następna porcja w tym czasie to już przekroczenie normy. Stwierdzono, że po 2 — 3 kieliszkach whisky 50 procent kierowców samochodowych popełnia błędy podczas jazdy i co gorsze, absolutnie ich nie zauważa. Jednakże inni wytrzymują więcej. Ileż więc może wypić normalny, zdrowy mężczyzna? Zdania są podzielone, fachowcy zgadzają się jednak, że 100 gramów czystego alkoholu dziennie — przekładając to na nasz język, ćwiartka z czerwonej kartki — stanowi dozę niebezpieczną. Tu się zaczyna granica nawykowego alkoholizmu. Dla kobiet i osób starszych granicę tę stanowią może już pół litra wina dziennie.

Po tych teoretycznych rozważaniach wrómy na teren Niemiec zachodnich. Ostatnio bowiem Republika Federalna dołączyła do rzędu krajów, w których alkoholizm osiągnął poziom zastraszający. Według danych przytoczonych przez tygodnik „Der Spiegel” ponad 7 milionów dorosłych Niemców pije zbyt wiele, do 4 milionów upija się w sposób szkodliwy dla zdrowia, prawie dwa miliony trzeba zaliczyć do nalogowców, a przeszło 300 tysięcy do zdeklarowanych alkoholiczki, dla których jedynym sensem życia jest zapicie się do utraty przytomności. Liczba owych alkoholiczki wzrosła w ciągu ostatnich czterech lat o 40 procent.

Jeżeli w roku 1950 przypadało w Niemczech zachodnich na głowę ludności — 2,9 litra wódki, 5 litrów wina i 37 litrów piwa, cyfry te w roku 1959 wzrosły do — 4,5 litra wódki, 14 litrów wina oraz 91 litrów piwa. (W Łodzi odpowiednie

cyfry wynoszą: 3,1 litra wódki, 4 litry wina oraz nie wiem ile litrów piwa, w każdym razie dosyć dużo). W przeliczeniu na spirytus spożycie alkoholu wzrosło z 3,9 litra do przeszło 8 litrów, dwukrotnie więcej na głowę rocznie niż u nas. „Spiegel” podaje wprawdzie cyfrę, 6,95 litra, ale nawet przyjmując, że pija się tam wódkę słabszą niż w Polsce, dane wydają się zażone.

Ogółem wydano na alkohol 11,2 miliarda marek, tyle samo ile rząd niemiecki przeznacza na opiekę społeczną. Wynosi to na głowę jakiegoś 104 marki rocznie — czyli, przeliczając wartość pieniądza, trzykrotnie więcej niż u nas.

Niemcy jako ludzie systematycznie przeprowadzili szczegółowe badania przyczyn oraz skutków alkoholizmu. Niektóre wyniki tych badań warto sobie uświadomić chociażby dla przestrogi. Zaczniemy od skutków.

W roku 1959 zanotowano tam 308.586 wypadków drogowych (u nas — przypomni, nam — około 17.500). Z tej liczby 43.172 spowodowali pijani kierowcy. Znalazono alkohol we krwi 45,6 procenta kierowców, którym przytrafił się wypadek oraz u 39 procent przechodniów, ofiar owych wypadków. Nadużycie alkoholu było powodem 20 procent wypadków przy pracy.

Pismo przemleża, niestety, dane o przestępczości pod wpływem alkoholu. Stwierdza jednak że jest ona najwyższa od wielu lat i równa mniej więcej liczebności z pierwszych lat naszego wieku. O 1/2 encyklopedia Meyersa z 1904 roku informuje, że w ówczesnej Rzeszy było notorycznych pijaków szacowano na około 300 tysięcy, że alkohol był przyczyną 41 procent wszystkich przestępstw, 74 procent bójek i 77 procent wykroczeń przeciw obyczajności. Dla porównania: w dzisiejszej Francji liczba przestępstw popełnionych pod wpływem nadużycia alkoholu wynosi około 60 procent, a liczba ogólna wypadków — około 45 procent.

Zdaniem niemieckich higienistów, obecna fala alkoholizmu jest tym groźniejsza, że ogarnęła kobiety i młodzież. W okresie międzywojennym młodociany alkoholik był zjawiskiem wyjątkowym. Dzisiaj, ze wspomnianych 300 tysięcy, około 16 tysięcy stanowią młodzieńcy poniżej 21 lat, z czego jedną trzecią dziewczęta.

W ogóle w przeciwalkoholowych zakładach leczniczych na dziesięciu pacjentów mężczyzn przypada jedna kobieta. Ale dane oficjalne są grubo niepełne, ponieważ kobiety skrytycznie ukrywają nałóg. Przypuszczają się z dużą dozą prawdopodobieństwa, że kobiety alkoholiczki stanowią 25 procent nalogowców.

Stwierdzono równocześnie, że przeciętny wiek nalogowców wydatnie się obniżył. Przed wojną w „społony nalogu” wpadał ludzie między 45 a 55 rokiem życia. Obecnie przeciętna wynosi lat 35. Skąd ta różnica? Po prostu dawniej alkoholiczkiem zostawał osobnik pijący systematycznie od 10 do 15 lat, dzisiaj wystarczy trzy, cztery lata picia, a u kobiet nawet dwa lata, by osiągnąć ten sam skutek. To przyspieszenie tempa uzasadniają socjologowie zmianą bytów pijackich po wprowadzeniu nowej waluty.

Jeszcze tylko w okolicach winnie spotyka się dzisiaj ludzi popijających w nastroju błogiej euforii, smakoszy medytujących przy kieliszku samotnie lub w towarzystwie. Współczesny typ alkoholiczki pije „dużo, byle jak i szybko”, chce szybko i doprowadzić się do stanu zamroczenia.

Profesor Hoff z Uniwersytetu Wiedeńskiego sądzi, że w grupie zdeklarowanych alkoholiczki 51 procent pije na skutek słabego charakteru, 24 procent w wyniku zachwiania równowagi nerwowej po różnych przejściach osobistych, 10 procent z powodu niedorozwoju umysłowego, 9 procent na skutek rozmaitych psychoz, wreszcie 6 procent z przyczyn nieznanych, być może z przyzwyczajenia.

Jedną z przyczyn rozpicia się młodzieży (uwaga, uwaga!) stał się import taniach win zagranicznych. Tylko w roku 1959 sprowadzono do Niemiec 383 tysiące hektolitrow wermutu i innych taniach win na przeróbkę. Butelka takiego wermutu kosztuje jedynie 98 fenigów i wystarcza do wprowadzenia się w stan eozolomienia. Następstwa są jednak ohydne. Nie chodzi tu nawet o późniejszego „kacza”. Substancje trujące zawarte w tego rodzaju winach powodują ciężkie pijackie psychozy: depresję maniakalną, manię prześladowczą, napady patologicznej wściekłości i zadrzości. W dodatku upijanie się wermutem prowadzi do szybkiego upadku sił fizycznych i równowagi psychicznej, zalamuje człowieka pięciokrotnie szybciej niż upijanie się wódką.

Toteż dorodził pijak raczej trunki mocne. I trzeba tu zwrócić uwagę na rzecz zmienną. Tylko 13 procent ogółu dorosłych mieszkańców NRF dochowuje pełnej wstrzeźliwości, to jest 5 procent mężczyzn i 19 procent kobiet. Przy czym abstynencja zmniejsza się w miarę wzrostu zarobków. Jeśli spośród zarabiających poniżej 250 marek miesięcznie nie pija 22 procent osób, wśród zarabiających do 600 marek mamy już tylko 10 procent, a wśród zarabia-

jących powyżej 800 marek zaledwie pół procent.

I jeżeli sto lat temu, dokładniej w 1859 roku, znany niemiecki chemik Justus von Liebig pisał:

„Spożycie alkoholu jest wynikiem nędzy, rzadko się zdarza, by człowiek dobrze odżywiony pił wódkę...”

W roku 1959 — jak stwierdza Główny Urząd Walki z Nalagam — alkoholizm nędzy przekształcił się w alkoholizm dobrobytu:

„...spożycie alkoholu w najszerszych masach narodu stało się oznaką podniesienia standardu życiowego”

I druga rzecz zmienna i bez precedensu: jakkolwiek cena trunków w naznaczonych zamkniętych wzrosła stosunkowo więcej niż ceny w restauracjach, obecnie coraz więcej pije się w domu. Jeżeli przed wojną 2/3 alkoholu konsumowano w knajpach, a tylko jedną trzecią w mieszkaniach prywatnych, obecnie sytuacja jest odwrotna.

Każdy szanujący się obywatel posiada dziś bar domowy i w „daje Cocktail-Parties. Również panie, które zbierały się dawniej przy popołudniowej kawie z ciastkami, obecnie schodzą się na płotecki przy kieliszku i to niejednym. Piją, bo to jest modne, bo czynią to wszyscy. W ten sposób rozwija się życie pseudo-towarzystwie.

Ale najwięcej i najchętniej popija się dziś w samotności, w pantoflach i szlafroku, i nie trzeba już nawet pretekstu do picia w postaci małżeńskich zawodów lub finansowych kłopotów. Alkohol znalazł nowego sprzymierzeńca i oredownika... telewizję.

Dzięki telewizji człowiek stał się domatorem. Siada wygodnie w fotelu, ogląda program i pociąga z kieliszka. Cyk, bo program nudny, żeby nie zasnąć, cyk, bo to zanadto podniecające. Nfkomu się nie przeszkadza, komu nie wpada w oczy i nawet sumienie ma się czyste. Ba, od czasu do czasu to ekranu padają słowa zachęty: oto film amerykański wysławia dzielnych pijaków, oto spikier reklamuje znaną fabrykę wódek.

„Telewizja z Dujardin — podwojnie ubawisz się...”

Dawniej chadzał jegomość do knajpy dla kontaktu ze światem, teraz świat do niego przychodzi i... namawia do picia.

W dodatku w knajpie trzeba było przerwać picie, by pogadać z kumpłami. Teraz nie ma z kim gadać, a gęb... lubi się ruszać. Cyk. Po co to wszystko, co nas obchodzi, czy Niemcy piją? Otóż... Panuje pogląd, że pijanstwo jest wynikiem ciężkich czasów, sytuacja poprawia się więc i rzecz sama się ulży. Okazuje się — nieprawda.

MAR. MUREK

Zdjęcie z „Der Spiegel”



# RÓŻE

## za osiemnaście milionów

Pozwólmy sobie odbiec od tradycyjnego schematu, kwiaty wręczymy na końcu, nie ma róży bez kolców, powiada przysłowie. Odkrywając „cierniste ścieżki” nauczyciela, nie czynimy tego w zamiarze obniżenia autorytetu wychowawców. Przeciwnie.

Kwiaty wręczają w tym dniu wszyscy, i młodzi i starzy. W publikacjach pojawiają się słowa uznania,

uczniowie deklamują wiersze, dziewczęta w białych bluzkach deklamują wiersze, hosianna śpiewają w szkołach. Nie chcielibyśmy zamać uroczystego nastroju, trzeba jednak to uczynić, nie zaszkodzi, jeśli tej biało ubranej młodzieży powie się przy okazji parę słów prawdy.

W Łodzi jest około 99 tysięcy uczniów szkół podstawowych. Koszt kształcenia jednego dziecka w szkole

podstawowej wynosi rocznie 105<sup>zł</sup>. Czy zdajecie sobie sprawę, ile z tak zwanych pociech powtarza w bieżącym roku naukę w tych samych klasach?

W Kuratorium obliczono, że drugorocznikami można by zapłacić około dziesięciu szkół podstawowych. 7676 uczniów rodzaju żeńskiego i męskiego ma świadectwa upstrzone niedostatecznymi słowniami. Poczynamy się wprawdzie, że jest to stosunkowo niewielki procent, że liczba ta z roku na rok maleje, że jest coraz lepiej, to prawda, ale ostateczny rachunek nie jest przyjemny, straty dla państwa z tego tytułu wynoszą w tym roku osiem milionów sto tysięcy złotych.

Uczniów szkół licealnych zarejestrowano 8044, z tej wdzięcznej gromady nie promowano do następnych klas 1389 osób. Roczny koszt kształcenia ucznia szkoły licealnej według danych Kuratorium wynosi 2132 zł. Straty powstałe w wyniku niezbyt pogłębionej miłości do książek naszych dziewcząt i chłopców w wieku „kwitnącej psychiki” wynoszą prawie trzy miliony złotych (dokładnie 2 961 348). W tym miejscu niezbyt przyjemna ciekawostka dla klas dziewczętych, prawie co piąty uczeń tej klasy pozostaje na druki rok.

W szkołach zawodowych koszt nauki rocznej wynosi około 2813 zł (w technikum 3125), straty spowodowane drugorocznictwem wyniosły tutaj około siedmiu milionów

(6 897 999). Ogółem w tych trzech rodzajach szkół ujemne saldo opiewa prawie na osiemnaście milionów złotych.

Nie jest to przyjemne zestawienie dla naszej młodzieży, zwłaszcza dla starszej, o której się powiada, że stoi „u bram życia”, że przed nią świat z całą swoją skomplikowaną maszyną. Na tym „memento” można by właściwie zakończyć apostrofę do uczniów, do chłopców i panienek biało ubranych, tych, na szczęście, nielicznych, panienek, które wydeptują ścieżki na Piotrkowskiej, do panienek szukających smaku życia w małej pół czarnej, do panienek z bukietami w rękach.

Sprawa jest bardziej złożona, niż by się to wydawało, owe osiemnaście milionów złotych stawia bohaterów dnia — nauczycieli — w obliczu zjawiska, które jest trudne do rozwiązania, granica między odpowiedzialnością, a wynikami przebiega linią bardzo nieokreśloną. Mimo to nawet w tych milionach tkwi sens pozytywny, tylko on jest rzadko podkreślany, tak rzadko, że często wydaje się, nawet samym nauczycielom, jakby go w ogóle nie było. Należy podnieść rzecz bardzo istotną, na szczególną uwagę zasługującą wysiłki nauczycieli w celu zmniejszenia strat, nauczyciele nie przeliczają mechanicznie strat na miliony, nauczyciele widzą przede wszystkim ludzi, młodych ludzi, którzy z tych czy innych powodów oczekują pomocy.

Warunki materialne w szkołach nie są najlepsze, są budynki, które nie nadają się do celów szkolnych, są szkoły, w których uczą na trzy zmiany, są szkoły bez pracowni naukowych. A przecież powstają tam zaimprovizowane pracownie, a przecież nauczyciele organizują pomoce naukowe. Powiadamy:



Sesja rady pedagogicznej 46 szkoły ćwiczeń przy SN. Fot. Kudaj

osiemnaście milionów strat z powodu drugorocznictwa. A ile równocześnie strat dla nauczycieli, ile włożonego wysiłku, zdrowia, bezsennych noc, tutaj rachunek rośnie również w miliony, sens tego rachunku krystalizuje się

o oo latach, nie jawi się on w sposób łatwy i oczywisty.

Sklonni jesteśmy nazwać postawę większości nauczycieli za niezwykłą, odzwierciedloną w niej wartości moralne mieszeją się doskonałe w klimacie politycznym naszych czasów, wiąże się z tym sprawa o bardziej szerokim znaczeniu. Ten podwójny rachunek „troska o tych, którzy pozostają, których trzeba podciągnąć, troska o wyrównanie strat, ukazuje obraz szkoły całkiem odmienny od tego, jaki zdołał się w nas ugruntować. Szkoła nie jest już wyizolowaną placówką, która rości sobie prawo do wyłącznego dysponowania uczniem, przeciwnie, nauczanie i wychowanie wiąże z życiem, nową funkcją szkoły zasadza się na współdziałaniu z instytucjami i zakłada-

mi pracy. Stąd ogromna waga społeczna odpowiedniej postawy młodzieży w szkole, straty poniesione z tego tytułu, przeliczone na złotówki, są znacznie większe, niż opiewa rachunkowe sprawozdanie, każda złotówka w tym bilansie, wyrzucona na marnie, pełni funkcję symbolu, zdająca sobie z tego sprawę nauczyciele.

Ale nawet odnalezienie tej prawdy o funkcji współczesnego nauczyciela nie wyczerpuje jeszcze zagadnienia, kwiaty składane przez młodzież róże, to metafora, wolno nam w niej widzieć symbol uznania a przede wszystkim zrozumienia pracy nauczyciela przez samą młodzież.



Przerwa... Fot. Kudaj



Na lekcjach... Piotr Różalski uczy od 1916 roku. Pierwsza jego szkoła była na Chojnach przy ul. Królewskiej. Fot. Kudaj



Fot. W. Biliński



## Z kaukaskiego notatnika

(Dokończenie ze str. 1)

...JEDZ, PIJ I POPUSZCZAJ PASA

kruczych wąsikach. Wszyscy modnie ubrani. Kolorowo i ze smakiem. Każda młoda dziewczyna czy kobieta w pantofelkach na szpilkach. Chłopy i mężczyźni w wąskich spodniach, w barwnych koszulach, często wyrzucanych na spodnie. Mokasyny są powszechnie noszonym obuwiem. Furkocza spodnie na halkach, śmiech i głośno prowadzone rozmowy często przecinają powietrze nasycone aromatem wschodu i południa, moczonych rosyjskich perfum i odurzającego zapachu kwiatu róży, zmieszanego z wonią eukaliptusowych drzew.

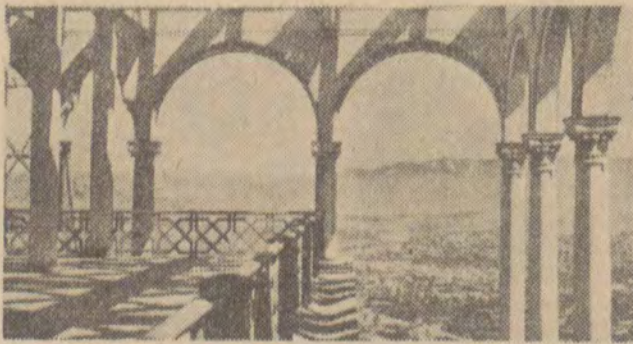
Sa urocz. Przeważnie brunetki, choć zdarzają się autentyczne blondynki. I nieprzystępne. Szeroko rozwartymi oczami (jakie oczy!!!) ogarniają przechodnia i z wysoko podniesioną głową idą dalej. Nie udało mi się wniknąć w tajemnicę myśli dziewcząt tbiliskich, ale wiem na pewno, że żadna z nich nie obejrzy się za mężczyznę choćby to był nawet Belafonte, czy przystojny tancerz z baletu amerykańskiego. (Obydwa przebywali w tym czasie w Tbilisi). Dziewczeta gruzińskie mają płynny chód tancerki. Poruszają się z wdziękiem, uśmiechają się pięknie, demonstrując wspaniałe zęby, które w oprawie podkarminowanych warg lśnią oślepiającym blaskiem. A gdy nie uśmiechają się — są zadumane. Ich piękne oczy przysyłają wówczas jak gdyby lekka mgielka. Są rzeźmy i urocze. I wybaczą mi — mile rodadzki — w wielu, w wielu wypadkach ich urok jest jeszcze większy od... waszego.

Napisałem, nieprzystępne. I przekonałem się o tym... Musza dobrze znać kogoś, aby zdobyć się na bezpośredniość. Byłem świadkiem niejednej ostrej reakcji na próbę „dowalania się”. A gdy ktoś staje się zbyt natrętny, na ulicy, w parku, w restauracji, czy w kinie — zawsze się znajdzie jakiś bliższy znajomy, który jeśli słowo nie pomoże, potrafi sięgnąć do mocniejszych argumentów... Grzeczność, szarmancja, czy jeśli ktoś bardzo tego słowa pragnie — dżentelmeństwo. Słowem — uroda we wszystkim.

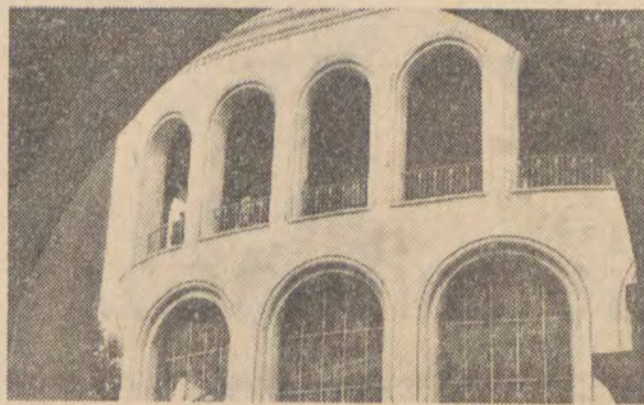
Mój znajomy, Polak, od dwudziestu lat mieszkający w Tbilisi, gdzie wykłada w Instytucie Języków Obcych... łacine i polski, powiedział mi na początku naszego spotkania: „Obyczaje należy poznawać przez... żółtek. Idziemy do restauracji”.

Weszliśmy, usiedliśmy, no i zaczęło się. „Po gruzińsku” — to znaczy sprzedając gościnnie i astronomicznie dużo. A więc na początek suli — smażony ser górski, ostry i pikantny, chaczapuri — chleb z serem i masłem na gorąco, suk — smażona polędwica, bugłama — młoda baranina w ostrym sosie, jakieś trawki, pomidory wielkości naszych jabłek i chleb gruziński — płaski placek z pszennej mąki pokrajany w wąskie paski. No i wino. Przed każdym z nas postawiono po jednej butelce TWISZI i po jednej butelce najwspanialszej, jaką kiedykolwiek piliem wody mineralnej — BORŻOMI. Gdy jednak kelner dowiedział się, że przy stole ma gości z Polski, szybko przyniósł butelkę wina Kachetyńskiego. „To ode mnie” — powiedział, zwracając się po rosyjsku — na zdrowie Polaków i pańskie...”

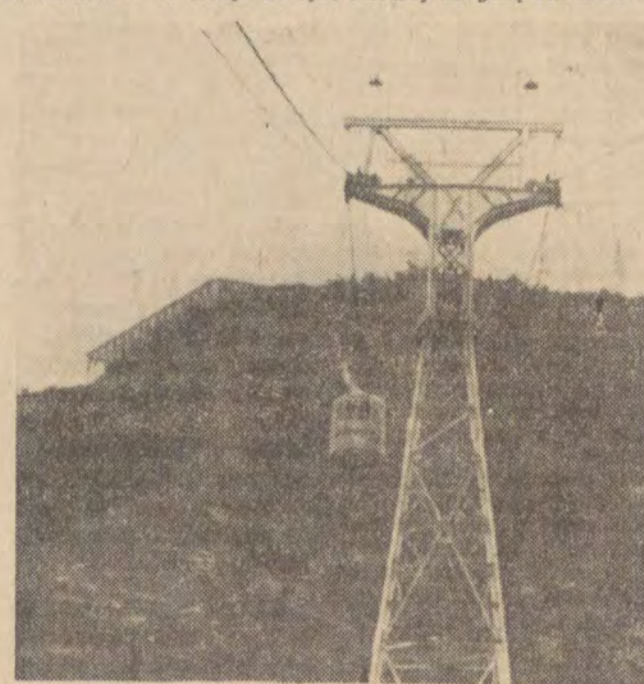
A potem były różne różności, wśród których królował oczywiście szaszлык. Nareszcie prawdziwy, nie bujany szaszлык z młodych baranów, podany na długim stalowym szpikulem i z całym obrzędem zsuwany przez kelnera na talerz. Aby obżarstwu uczynić zadość — jeszcze czichirtma z kury, lulakebabi jakieś niedosłyszone z nazwy i niezapisane na skutek mnogości wina salatkę z ryb, sosy i Bóg jeden tylko wie co jeszcze. I wreszcie... deser. Czurczheła — orzechy nanizane na nitkę, moczone w gęstym soku z tegorocznego zbioru winogron. Sok zasycha, powstaje coś w rodzaju nadziewanego orze-



Taki widok rozciąga się z tarasu restauracji na szczycie „Funikuleru”



Szkoło i kamień ujęte w tradycyjne gruzińskie formy architektoniczne — to stacja kolejki linowej na górę św. Dawida



chami strucla. W gębie — Kieliszek koniaku z czterema gwiazdkami podany do kawy z... cytryną (z cytryny zrezygnowałem) zakończył... śniadanie!!!

Wstałem — nieprawda — uniosłem się od stołu i chciało się zawałać za Czackim, bohaterem komedii Gribojedowa: „Karietu, dajcie mnie karietu...”

Rzeczywiście jednak była brutalna. Wsiedliśmy do „Wolgi”.

### WYŻSZY OD WIEŻY EIFFLA

Przez ciżbę samochodów przedostaliśmy się dość szybko pod gmach o tradycyjnej gruzińskiej architekturze. Wewnątrz podwórca — budynek. Szkoło i kamień ujęte w piękne arkadki. To stacja kolejki linowej „FUNIKULER”. Wtopiona w podnóże siedmiusetmetrowej góry, wyprowadza 30-osobowe wagoniki na szczyt, gdzie obok wspaniałej restauracji, cudownie utrzymanego parku i skromnego budynku studia tbiliskiej telewizji — króluje maszt telewizyjny, wyższy od wieży Eiffla, zwiny, zachwycający lekkością konstrukcji patroluje całe miasto od 1955 roku. Góra nosi nazwę św. Dawida.

Po przeciwnej stronie stoiku znajduje się druga kolejka — taka jaką mamy na Gubałowie. Stare, wysłużone wagoniki służą od 1925 roku mieszkańcom Tbilisi podobnie jak nowoczesne wagoniki kolejki linowej. Wywoża i zwożą dziesiątki tysięcy Tbiliszczan na szczyt góry św. Dawida, skąd rozciąga się przepiękna panorama miasta, leżącego w głębokiej, zielonej dolinie Wielkiego Kaukazu. Miasto które ma ponad 100 parków, wielkich skwerów i ogrodów.

Te kolejki zbudowała firma belgijska „Funikuler” w pierwszym powojennym dziesięcioleciu, w czwartym

roku istnienia Gruzjińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Od tego czasu służy mieszkańcom 1500-letniego miasta.

W połowie drogi na górę św. Dawida wzniesiono PANTEON — grobowiec wybitnych ludzi, zasłużonych dla rewolucji i kultury Gruzji. Rozłożony wokół starodawnej cerkwi, powstałej — jak głosi legenda — obok pieczeni, w której w VI wieku żył mnich św. Dawid. Jeszcze dziś można oglądać tę pieczenię ze źródłem wody, u którego Gruzini składają reszki jedzenia dla ducha świętobliwego mnicha. Że duch ten materializuje się w postaci różnych zwierzątek, kotów czy ptaków, które chwala sobie zapewne tradycje — to już inna sprawa. Ważne, że legenda żyje.

W okresie najazdów muzułmańskich cerkiewka była trzykrotnie zburzona i trzykrotnie powstała z ruin jak Felix z popiołów. Tę, którą oglądałem, odbudowano po raz czwarty.

Liczy ona 100 lat. Pod kamienną posadzką cerkwi, w której codziennie odprawiana jest msza, pochowani są zasłużeni dla Gruzji dostojnicy z pierwszej połowy XIX wieku. A u stóp cerkwi stoi grobowiec wielkiego poety rosyjskiego Aleksandra Gribojedowa, serdecznego przyjaciela narodu gruzińskiego. Przed krętą grobowca spowitego w wiecznie zielony bluszcz leżą zawsze świeże wiązanki kwiatów...

„FUNIKULER” i cerkiew na górę św. Dawida, współczesność i legenda, nowoczesność i historia — będą mi odtąd stale towarzyszyć w moich wędrówkach po Tbilisi, po Gruzji. Tbilisi — jedno z najstarszych miast na świecie i jednocześnie nowoczesne miasto, stolica socjalistycznej republiki, miasto ciepła, młodości i piękna. Miasto legend i nowoczesności. O jego legendzie i o Tbilisi w nocy w następnym raporcie.

JERZY LANCUĆ  
(Zdjęcia: autor)

\*) Obok jego grobowca, grobowiec jego żony — Niny Czawczawadze. Miłość tych dwojga ludzi stała się symbolem duchowych więzi najlepszych ludzi Rosji i Gruzji. Na marmurze grobowca poety, żona jego umieściła następujący napis: „Twój umysł i dzieła Twoje są nieśmiertelne w pamięci rosyjskiej, ale dlatego przeoczyła Ciebie moja miłość!”

MARIAN PIECHAL

SEDNO  
RZECZY

# Kibice kultury

Kilku życzliwych przyjaciół zwróciło mi uwagę, że w ostatnich felietonach prow. Iz. bardzo ryzykowną akcją. Jakiś swoisty rodzaj literackiej machajszczyzny. Notabene, Wacław Machajski, kolega szkolny i uniwersytecki Stefana Żeromskiego, to twórca osobliwej teorii społecznej, wedle której głównym złem we wszelkim ruchu rewolucyjnym jest inteligencja, z istoty swojej „wroga zawsze ludowi, pracującemu zarówno w postaci czynnika stojącego u władzy, jak w postaci czynnika ideowego, wciągającego lud w odmet swych egoistycznych interesów, sprzecznych z istotą interesów proletariatu”.

Ho! ho! — pomyślałem sobie — niedobrze ze mną. Występuje przeciwko inteligencji, a więc eo ipso przeciwko sobie samemu. Czyżbym z nadmiaru ferworu publicystycznego w piętkę gonił? Chwila zastanowienia! Ależ — czyżby gromienie inteligencji za jej ospałość w pracy na rzecz innych warstw społecznych, za jej oportunistyczny izolacjonizm, za jej mimowiedną alienację, tak niebezpieczną w dalszych konsekwencjach przede wszystkim dla niej samej — czyżby takie zarzuty mogły być wyrazem machajszczyzny, a więc wrogosci wobec inteligencji? Coś tu „nie sztymuje”, jak powiedział Tuwim w pewnym wierszu. Toż przecie troska, najtrojskliwsza troska o tę inteligencję, o jej istotną rolę w kulturze i znaczenie w narodzie, a nie wrogosc, powodowała mną w moich wypowiedziach na jej temat. „Naród bowiem — jak powiada Norwid — składa się z tej sfery dolnej, która go różni od drugich i z tej górnej, co łączy go z drugimi... ale łącz go, a nie siebie”. A jakoż łączyć nasz naród z innymi narodami, skoro sedno tego narodu, lud wciąż jeszcze nie uczestniczy w pełni w życiu kulturalnym?

Czy tak jest? Czy ja aby nie przesadzam? Chyba nie przesadzam, skoro powiem, że szerokie masy tylko w części żyją kulturą właściwą, w części zaś odpadkami w postaci wszelkiego rodzaju szmiry, kiczu i tandety, a tzw. inteligencja prawie nie robi, żeby temu zapobiec. Czy widział kto w świetlicach fabrycznych, szkolnych i gminnych kogokolwiek poza przygodnym propagandystą, studentem i amatorskim zespołem? Czasem posyła się tam mniej lub więcej wygadanych literatów i to wszystko. A czyż kibicowanie można nazwać współtworzeniem kultury? Przecież tylko ci, którzy grają w karty, dzieją między siebie wygrane i

straty, a nie kibice. Kibice z braku czegoś lepszego pod szczypują sąsiadki, dębują w ucho i ziewają. Tak właśnie zazwyczaj szerokie masy zachowują się wobec tego, co nazywamy żywą treścią kultury narodowej.

Chcę być dobrze zrozumiany. Dlatego ucieknę się do przykładu. Sokrates nie czekał za biurkiem, aż przyjdą do niego słuchacze, ale sam wychodził do nich na place, na rynki, na targowiska i jarmarki. Sam docierał do najszerszych mas, atakował je, dialogował z nimi. I korona mu z głowy nie spadała. Profesjonalna korona filozofa! Ale Sokrates wiedział, choć udawał — filut! — że nie wie, co to jest kultura w ogóle, a kultura narodowa w szczególności.

O, szanowni inteligenci, czcigodni uczeni, technicy i humaniści, profesorowie i specjaliści od wyższych wta jemniczeń wiedzy — gdyośćcie tak z łaski swojej choć troszkę, choć żdźbko chciełi być czasem sokratesami naszych czasów! Byłaby to przecież rozrywka, nawet dosyć pożyteczna dla waszego zdrowia, zabawa w tej waszej codziennej, żmudnej i jednostajnej robocie i nudzie! Wyjść wreszcie ze swa wiedza na świeże powietrze. W sam środek szerokiej mas do walki z ciemnotą, z przesadą, ze szmirą, z kiczem z tandetą, z fałszowaną imitacją wiedzy i kultury!

Chciałbym wszystkich rozruszać na rzecz tzw. szerokiej mas. W imię sensu naszej twórczości. W imię upowszechnienia kultury. Aby jedna i druga mogły się rozwijać i trawić, muszą być konsumowane przez jak najszersze masy narodu, które nie mogą być jedynie obywatelami naszych narodowych i ogólnoludzkich wartości, ale ich czynnie zaangażowanymi współtwórcami. Niechby uczeni, choćby najbardziej trudni w swej specjalności, wyszedłi wreszcie ze swej wspaniałej izolacji, przelamali proces tragicznej dla niego alienacji, i stanął choć raz na kwartał przed pełnym audytorium fabrycznym! Niech to audytorium ludu pracującego zobaczy wreszcie prawdziwego uczonego, a on prawdziwych słuchaczy! Niechby się zmierzyl z rezultatami swego uczonego trudu z ich nienasyconym nigdy głodem prawdy! Niechby im dał pić bezpośrednio z żywego źródła wiedzy autentycznej! Inaczej wiedzy zaczną oceniać i cenić tę wiedzę i tę kulturę!

„Bo nie jest światło, by pod korcem stało.

Ani sól ziemi do przypraw kuchennych...

I stąd najlepszym Cezar historykiem,

który dyktował z konia — nie przy biurze,

I Michał Anioł, co kuł sam w marmurze...”

Nie ulega wątpliwości, że ze wszystkich instytucji kulturalnych radio ma największy zasięg oddziaływania...

Mówiąc o specyficznej indywidualności mam na myśli po pierwsze: charakterystyczne dla niemal wszystkich audycji ze studia i estrady duże zacięcie społeczne...

Dawne kwadransy poetyckie, z których każdy w zasadzie obejmował twórczość jednego poety zostały zamienione na audycje będące niejako magazynami...

kach wierszy, zawierają fragmentaryczne notki biograficzne, recytuje się w nich najciekawsze i najlepsze wiersze i cytuje recenzje...

Kultura a la minute

Praca od podstaw czyli dokoła problemów radia

niu miał być lekki i perlisty, a jest niestety „zapaśniczy”, greckie chóry to dowcipy recytujące, figlarne głosy i głoski...

2. Wacław Biliński i Tadeusz Szewera z redakcji literackiej Łódzkiej Rozgłośni należą do tej niewielkiej garski ludzi...

różnych reportaży „Prywatka”, reportaży o wypadku, który w Łodzi wywołał spore wzburzenie...

3. Bardzo interesujący był też reportaż o wycieczce do rzekami po Łodzi. Osnuły na eksploatowanym już wprawdzie temacie...

4. Mówiąc o znikomej ilości audycji „elitarnych” nie zapominać o kilku cennych i godnych kontynuowania pozycjach...

Redakcja muzyczna wypełniająca większą część programu jest kierowana przez Zygmunta Gzełę...

Ważny redakcyjny wywodzi się z duża część łódzkich eksportów. W programie ogólnopolskim orkiestra Henryka Debicha daje około 30 koncertów...

Orkiestra mandolinistów ma za sobą działalność społeczną, za którą nie sposób nie wyrazić jej najwyższego uznania...

Warunkach „miesie w ludzkiej kulturze”. Tylko — jaka jest ta kultura? Jeśli kulturę można sobie wyobrazić jako kilkupiętrową budowlę...

Niebywała popularność zdobył sobie „Wesoły autobus”. Zespół ten dwa razy w miesiącu goszczący na antenie ogólnopolskiej jeździ wzywany błagalnymi nierzad listami po całym kraju...

Od liczącego z górą 30 lat wynalazku, skądinąd bardzo zasłużonego Bolesława Busiakiewicza trzeba zacząć rozważania na temat tej grupy audycji...

Wszystko, co wyżej powiedziane można odnieść do audycji sportowych. Głędzenia o najbłahszych rzeczach, filozoficzne rozprawy o szansach sześciornego w skali krajowej zawodnika...

Jeszcze można by „o samym dniu” tj. o audycjach reklamowych, musiałbym jednak użyć dosadnych wyrażań. Wstrzymuję mnie więc obawa, że zainteresowałby się tym akapitem nieustępliwie walczący o czystość polszczyzny „Express Ilustrowany”...

Mam wrażenie, że teoretyczne rozważania na temat „radio jako zrzędczą ciotka, którą można wyłaczyć” czy ograniczenia przez telewizję działalności radia do informacji mogą dać tylko jedną odpowiedź. Choć niewątpliwie telewizja jest atrakcyjniejsza...

Do czego zapraszają „Odgłosy”, autor niniejszego artykułu i — zapewne — Łódzka Rozgłoska Polskiego Radia.

HENRYK PUSTOWSKI RZECZ POETYCKA

anegdota i jedna dysertacja. Powiedział tylko Czechowicz — bezpretensjonalnie i po prostu „o był dobrym poe... Fik analitycznie i psychoanalitycznie (bo nie był dobrym poe... Niewiele w końcu dowiedzieliśmy się o tworzywie. Poezja się obroniła, jej sanktuarium nie naruszono...

Odgłosy str. 7



## Dokąd chodzi młodzież Łodzi?

WŁODZ MIERZ  
ŁUSZCZYKIEWICZ

### Bajka

# o kulturalnym Kopciuszku

Międzyzakładowy Dom Kultury przy ulicy Przedzłanianej 68 powstał zaledwie przed dwoma laty, w marcu 1959 roku z inicjatywy Zarządu Głównego Związku Zawodowego Włóknarzy i Zarządu Okręgu. Opiekę finansową sprawuje nad nim sześć zakładów pracy i Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych. Część dotacji wpływa także z kasy kina „Odra” będącego własnością klubu.

Praca MzDK przebiega zasadniczo w trzech działach:

1. Artystycznym
2. Oświatowym
3. Rozrywek i wypoczynku po pracy.

Zajrzyjmy do każdego z nich.

Dział oświatowy nastawiony jest przede wszystkim na umożliwienie ludziom, którzy nie mieli ku temu okazji, zdobycia wiedzy o świecie, o ostatnich zdobyciach nauki i techniki. A więc głównie pogadanki i odczyty. Wygłaszane w MzDK i po zakładach pracy, pozwalają uzupełnić skromne nieraz wykształcenie. Prowadzone przez fachowych instruktorów kursy języków — francuskiego, niemieckiego i angielskiego, pomogą w korzystaniu z literatury w językach obcych.

Klub filmowy „Bawelna” ma do dyspozycji salę kina „Odra”. Jest członkiem Federacji Dyskusyjnych Klubów Filmowych, ma więc możliwość wyświetlania filmów archiwalnych. W seansach klubowych uczestniczy coraz więcej osób, deficytowy do niedawna klub stał się obecnie samowystarczalny. Świadczy to o tym, że praca nie idzie na marne, że akcja podnoszenia poziomu życia kulturalnego mieszkańców, mieszczącego się do tej pory w schemacie: — praca — jedzenie — sen, daje już pewne rezultaty.

Poszczególne sekcje tego działu, pomyślane są tak, by obejmowały prawie wszystkie dziedziny zainteresowa-

nia: Zespół plastyki użytkowej, kursy kroju i szycia itp.

W skład działu artystycznego wchodzi:

Zespół recytatorski i dramatyczny, balet charakterystyczny i tańca ludowego, balet dziecięcy, dwie orkiestry — jazzowa i taneczna, zespół gitarzystów i akordeonistów, tercet i powstający obecnie kwartet.

Członkowie tych zespołów nie ograniczają się jedynie do zajęć we własnym gronie. Pokazują swój dorobek i na zewnątrz. Zespół dramatyczny dał w podopiecznych zakładach pracy przedstawienie „Kopciuszka” dla dzieci, wystawiono także jednoaktówkę Auderskiej „A jednak miłość”. Z ta sztuką wystartował zespół do przeglądu zespołów amatorskich. Nigdy również uświetniono otwarcie świetlicy na Stokach. Wszystkie zespoły, oprócz występów indywidualnych, brały jeszcze udział w urządzaniu cześci artystycznych akademii i innych uroczystości w zakładach pracy. Przygotowywały także wieczornice dla Domu Starców i Zakładów im. H. Sawickiej. Występowali i na deskach Teatru Młodego Widza.

Stosunkowo żywa działalność tego działu nie świadczy bynajmniej o braku trudności. I on się od nich nie ustrzegł. Zespół dramatyczny nie posiada własnej kostiumowni i charakterystornię, wybierać musi sztuki pociągające za sobą jak najmniejsze wydatki (znów brak funduszy). Zespoły baletowe i taneczne cierpią na płynność kadr — wyszkoleni i zdolni do występów członkowie odchodzą często do wojska, zdarza się też, że opuszczają zespoły po to by samemu zacząć zarabiać na podrzędnych chałturach. Pozostali latają jakoś te braki i w ten sposób udaje się im utrzymać całość pracy bez szkody dla poziomu artystycznego ich działalności.

Dział rozrywki i wypoczynku po pracy ma charakter nieco odrębny — jest bowiem nastawiony także i na dochód. Obejmuje salę gier, bilardy, gry stołkowe, szachy, klub brydżowy, zabawy dochodowe. Kierownictwo tych ostatnich kładzie duży nacisk na ich stronę organizacyjną. Dochód — to nie jedyny cel takiej imprezy. Postanowiono nauczyć młodzież kulturalnej zabawy. Bez alkoholu, połączonej z pokazami tańca towarzyskiego i zaznajamianiem z podstawami savoir-vivre. Korzystając z pomocy pary tanecznej Łódzkiego Domu Kultury zorganizowano w zeszłym roku dwa kursy tańca towarzyskiego.

Kawiarenka na razie świeci pustkami, ale i tu szykują się gruntowne zmiany. Planuje się założenie parkietu i urządzenie dancingu na których grałyby do tańca klubowe orkiestry. Korzystając z tego pomieszczenia można będzie wtedy urządzić spotkania z wybitniejszymi osobistościami świata kultury, odczyty, wieczory artystyczne z występami własnych zespołów.

Całość zamyka biblioteka z czytelnią. Ma ona podwójną rolę — jest dostępna nie tylko członkom MzDK ale i mieszkańcom dzielnicy. Wyposażona w czternaście tysięcy tomów, grupuje dwa tysiące czytelników, jest w porównaniu z poszczególnymi działami, najżywszą częścią MzDK. Biblioteka działa nie tylko na miejscu, ale i w terenie. Kierownictwo zorganizowało dwie filie biblioteki w zakładach pracy czynne dwa razy w tygodniu, posiadające zmieniane co kwartał zestawy książek. Pewne sumy z ogólnego budżetu przeznaczone są na zakup ostatnich nowości, w ten sposób każdy ma możliwość zapoznać się z osiągnięciami literatury światowej.

Ciekawą jest rzeczą struktura uczestników MzDK. Pomyślany był jako miejsce wypoczynku i rozrywki dla pracowników zakładów, a tymczasem po dwu latach istnienia okazuje się że gros członków i bywało to ludzie z dzielnicy w której działa (Widzew, Księży Młyn...). Żeby dojść przyczyny tego zjawiska i zarazem zorientować się co przyciągać by mogło większą niż dotychczas liczbę osób — rozpisano dwie ankiety. Pierwsza przeznaczona była zasadniczo dla mieszkańców dzielnicy, związana z projektem uruchomienia dancingu w kawiarence (koszt parkietu i utrzymania orkiestry jest duży, nie można więc działać pochopnie). Mieszkańcy odpowiedzieć mieli na pytania:

„Czy uczęszczałbyś do kawiarenki gdyby były dancin-gi?” oraz „W jakie dni byś uczęszczał?” To ostatnie pytanie jest bardzo zasadnicze. Robotnicy pracują na kilka zmian, nie wiadomo więc jakie dni odpowiadają im najbardziej. Urządzenie dancin-gów w niekorzystne dni oznaczałoby automatycznie spadek frekwencji.

Druga ankieta skierowana była pod adresem pracowników zakładów utrzymujących MzDK. Zadaniem jej było zorientowanie się w charakterze zainteresowań osobistych oraz poznanie przyczyn małego stopnia uczestnictwa pracowników w działalności MzDK.

Pytania brzmiały mniej więcej następująco:

1. „Dlaczego nie przychodzisz do MzDK?”
2. „Co ciebie interesuje?”
3. „Jakie formy pracy chciałbyś widzieć w MzDK gdybyś do niego przychodził?”

Wyniki obu tych ankiet nie są jeszcze znane, ale należy przypuszczać, że informacje uzyskane tą drogą pozwolą uchwycić istotną przyczynę słabej frekwencji. Ta ostatnia nie jest jedyną bolączką MzDK, ten pracowity i pożyteczny ośrodek boryka się z wieloma innymi trudnościami. Szczupłe fundusze udaje się jakoś łączyć, gorzej jest z pomieszczeniami — tych jest stanowczo za mało. Podlega-ją mu wprawdzie dwie świetlice przyzakładowe, ale ganienie uczestników zajęć z jednego końca miasta na drugi, nie jest dobrą zachętą do pracy. Istnieją szanse na

Przeletny mieszkaniec Śródmieścia, obracający się w kręgu Piotrkowskiej i przyległych przecznic, byłby w nie lada kłopot, gdyby otrzymał zadanie odnalezienia „Kopciuszka”. Nie przypuszcza pewnie, że w Łodzi istnieje „Kopciuszek”, a jeżeli nawet wie o tym, to nie potrafi go odszukać. Nie dziwny się. Odnaleźć go nie jest sprawą łatwą.

Ukryty za drzewami parku Źródlika przytłoczony ogromnymi brudno-ceglastymi „samotami” przycupnął cichutko. Zamaskowane wejście chroni go doskonale, delikwentowi trudno się domyśleć, że za niczym nie wyróżniającymi się drzwiami w hallu kina „Odra” mieści się cel jego poszukiwań. Jeśli nawet udałoby mu się przebrnąć i przez tę przeszkodę, to tylko doskonały instynkt orientacyjny uchroniłby go od ugrzęźnięcia w labiryncie korytarzy łączących poszczególne pokoje. Osobliwy to ośrodek. Stara nieprzytulna posesja, niewygodny dojazd, brak funduszy i skąpa ilość sal — nie stanowią dobrego podłoża dla egzystencji, toteż tylko dużemu wysiłkowi personelu kierowniczego przypisać należy fakt, że całość funkcjonuje i spełnia swoje zadanie. Jego starszy brat z ulicy Traugutta zaczął go sławę i rozgłos. „Kopciuszek” żyje w cieniu tej sławy, ale wierząc, że przyjdzie czas, kiedy i o nim będzie się mówić głośno.





# ESKIMOS na równiku

## SZPIKLKI I NIEBEZPIECZYSTWO

Młode i stare, szczupłe i tegie, blondynki i brunetki — noszą szpilki. Czasem trudno pojąć, jak dobrze odkarmiona i dobrze pamiętająca pierwszą wojnę światową signora włoska swę nóżką w wyjątkowo wąskiej i wysokiej bucizki. Nawet elephantiasis nie stanowi przeszkody w kultywowaniu tej mody.

Natomiast starzy i młodzi, szczupli i tęży, bruneci i brunetki (blondynów nie ma) bez względu na temperaturę i porę dnia i nocy ubierają białe koszule ze śnieżno-białymi kołnierkami i śnieżno-białymi mankietami. Urzędnicy banków — noszą białe koszule, kupcy — noszą białe koszule, policjanci regulujący ruch parady w czarnych mundurach ze śnieżno-białymi kołnierkami, konduktor pociągu Brescia — Verona dziurkował mi bilet, migając śnieżno-białym mankietem, zawiadowca stacji Desenzano nad jeziorem Garda nosi piękny czarny krawat przy śnieżno-białej koszuli. Jak oni w upały wytrzymują — nie wiem. Ja się czuję jak Eskimos na równiku.

Faktem jest, że widuje się piękne i zgrabne dziewczęta i kobiety. Uderza wspaniała nieraz karnacja skóry i idealna wprost postawa oczu. Ale dorodni i postawni, piękni — ogólnie biorąc — są właściwie mężczyźni. Śniadzi, opaleni, pięknie zbudowani, masy z wyglądu i postawy.

I dlatego pamiętam, że wyjazd w stronę kobiet do Włoch grozi wielkim niebezpieczeństwem. Większym, niż się wam zdaje. Bo obok dorodnych i przystojnych Włochów obfituje tam kraj we wspaniałe sklepy z olśniewającymi pięknymi jedwabia-

mi, steelonami, nylonami, z oszalałą kolorową bielizną, z wspaniałymi butami, z wytorną konfekcją, z pończoszkami, hałeczkami, szolceczkami i tysiącami konfekcyjnych i galanteryjnych wspaniałości. I dlatego, jeśli puścicie — o nieszczęśni mężczyźni! — wasze kobiety do Włoch, to „lasciate ogni speranza” (porzućcie wszelką nadzieję).

## DYSTRYBUCCJA I GASTRONOMIA

W tych pięknych sklepach trzeba jednak umieć kupować. Przyczyną do naszej dystrybucji — znalazłem się w naprawdę trudnej sytuacji. Gdy w jednym ze sklepów dwie sprzedawczynie prześcigały się nawzajem w usługaniu mi, w prawieniu kompletów, w przejmowaniu — czułem się tak omieszkałymi, że gotów byłbym pomyśleć, iż jestem naprawdę bardzo miły. Gdy w innym sklepie sprzedawca z własnej woli zbonifikował mi 100 lirów, dziękując mi za zaszczyt jakiegoś spotkania i życząc szczęśliwej podróży — zrozumiałem, że nie umiem kupować. A gdy w jednym ze sklepów Wenecji elokwentny sprzedawca „spuścił” z 3000 lirów za koszulę na 1300 lirów — bez żadnych nalegań i aluzji z mojej strony — doszedłem do niezbitego wniosku, że jestem kompletnym ignorantem w sprawach handlowych. Bo we Włoszech — proszę państwa — trzeba się targować. Tylko niektóre sklepy posiadają stałe ceny i zapatrzone są w odpowiednie wywieszki. Gdzie wywieszki nie ma — tam trzeba negocjować ze sprzedawcą uzgodnione.

Nie uzgadnia się cen w lokalach gastronomicznych. Ale za to obsługa, usługa kelnerów, szybkość ich działania, powiedzielibym,

nawet ich inteligencja — są zdumiewające. Gość siada przy stoliku. Podbiega oberkeller, podaje usłużnie kartę. W tej samej chwili młodszy kelner przysuwa zapas widelców, noży, łyżeczek, serwetek, talerzyków, przypraw, wykalcelek i szklaneczek. Nim gość zamówi pierwsze danie już trzeci kelner stawia na stole dzbanuszek wina (czy wino białe, czy rosé — o to pyta kelner na wstępie).

I jak tu snuć porównania? Hej, Iza się kręci!

Wino włoskie jest naprawdę dobre. (truizm!) Jego chłód, zwłaszcza w upalnym włoskim klimacie, jest błogosławiony. Jego smak jest nieporównywalny. Opowiadano mi, że w niektórych wyżej położonych rejonach Włoch — woda jest droższa od wina. Jest to zupełnie możliwe, zwłaszcza, że woda do tych rejonów nie dojeżdża beczkami, podczas gdy winnice rodzą na stokach górskich tysiące ton winogron.

A sery? Ser Grano jest taki twardy, że trudno w niego wbić zęby, a jeszcze trudniej je wciągnąć. Ale najlepszy wydawał mi się zieloną pleśnią przerośnięty ser Gorgonzola. Tesknie za nim, choć złośliwy twierdzi, że widelca używa się do niego tylko po to, aby nie uciekł, bo ma taką spleśniałą wnętrze „chodzą” po talerzu. Niech sobie chodzi! Ale jak smakują!

Rakowe odnoża oblane lososimowym majonezem, bardzo chłodne, niemal mroźne, a jednak nie pozbawione swoistego smaku — jadłem z apetytem. Zależało tylko, że stanowiącymi przybranymi soczystymi plasterkami pomarańczy — jako „dekoracyjnej” miejscowej salaty — nie mogłem spałaszować. Noblesse oblige.

Kraby, krewetki, langusty, ostrygi raki — pod różnymi postaciami i nazwami, w różnych stanach i formach, z różnymi przyprawami, sosami i majonezami — to specjalność włoskiej kuchni. Najwięcej tych „frutti di mare” spotkałem w restauracjach weneckich. Można się i do tego rodzaju potraw przyzwyczaić, choć zdawałoby się, że na dłuższą metę nie wytrzymałbym i ogarniałbym w owczym gorącym falu tęsknoty za oolskim kotлетem schabowym.

A co do oliwy — owszem, jadłem spaghetti z oliwą i parmezanem, i salate skapaną w oliwie i buraczki, skropione oliwą — nie zaszkodziła, nie odebrała smaku, nie dziękuję, nie przepadam.

## WIEŻA BABEL

W weneckich restauracjach karty potraw są co

## czyli impresje z Italii<sup>(2)</sup>



Panoramyczny ekran w kościele Sant'Agostino w Bergamo

najmniej w 4-5 językach, nawet w małych barach, zaszytych w gąszczy wązkiej uliczek. Ale nie tylko karty w restauracjach są w obcych językach. Na wystawach sklepów na Piazza di S. Marco ceny wspaniałych pamiątek z weneckiego szkła, ze złota i srebra, z brokatów, lamy i kolorowej skóry, z nylonu i naturalnego jedwabiu — podane są w 4-5 walutach: w lirach, dolarach, frankach francuskich, szwajcarskich, w funtach szterlingach i markach zachodnio-niemieckich.

Nie w tym dziwnego. Wszędzie w Wenecji tłumy międzynarodowych turystów, podróżnych, wycieczkowiec i gości z całego świata. Na ulicach, nad kanałami, na mostach i w gondolach, w tramwaju wóznym i w sklepach, w kościele św. Marka i na dworcu — wszędzie słychać gwar różnojęzycznej mowy. Istna wieża Babel.

Wśród straganów, obwieszonych kolorową masą towarów kraja! Najprawdziwszy maharadża w białym zawoju spletnym błyszczącym szmaragdem, z ciemnowłosa i śniadą małżonką, owiniętą w kolorowe „sare” i r. usłowny wzorzysty szal. Maharadżowa miała na boscych stopach złoczone pantofelki — kolor butów często spotykany w Wenecji. Za nimi siedzi w przyzwyczajonej i dozwolonej odległości w szarym, cajtowym ubraniu, zapiętym pod samą szyję — służący Średniowiecza nie powstydziliby się tego obrazka.

W kolorowym tłumie nie zabrakło przepięknych, zgrabnych i naprawdę eleganckich Japonki o nabrzmianych wargach czerwieniąjących na głaski — Itaracko się wyrażając — alabastrowej cerze. Nie zabrakło opasłych Niemców z chudymi Grekami, z Dortmundu czy Duisburga (dawni zapomnieli co to jest wojna!) i ekscentrycznie ubranych Amerykanów z jeszcze bardziej ekscentrycznie przybranymi kobietami.

## APARATY FOTO

Jeden jest jednak szczególnie, który pozwala stwierdzić niezbicie, że ma się do czynienia z etranżerem. Jest nim najczęściej przewieszony przez ramię aparat fotograficzny. Kanalem przepływa gondola z rozpartą na ławce parą. Para nie jest już pierwszy młodzieńczo-snobizm każe im płynąć skrypi na czarno malowanej gondoli. Choć gondolier nie śpiewa „O sole mio”, realizują zapewne swe mieszczańskie marzenia o młodości i miłości na lagunach, wysnute gdzieś nad fiordem albo w zapadłej miejscowości Flandri na podstawie XIX-wiecznych romansów. Wystarczy, że gondola z czule się obejmującą parą przepływa pod lukowo sklepio-

nym mostem, a już wszystkie aparaty fotograficzne etranżerów idą w ruch, już pstrykają w różnych tonacjach i demaskują swoich właścicieli.

Z przewieszonym przez ramię aparatem idę wśród różnokolorowych straganów.

— Monsieur! Hallo, mister! Was wünschen Sie? Che cosa desidera?

Mieszanią najbardziej popularnych języków wola do mnie kupiec, wytrawny znawca klientów. Zna te języki na tyle, by móc wtłoczyć w ręce cudzoziemskiego „fradera” filigranową gondolę z blachy, katezuku, drzewa lub laki, posrebrzaną, pozłacaną lub bajecznie kolorową albo albumik technicolorowych zdjęć pałacu dozów, Prokuratorii, mostu Rialto, mostu Westchnień i innych wspaniałości weneckich albo szalik z „filmdrukowo” odbitym widocznym kościoła św. Marka. A nabywców nie brak. W każdym języku można się porozumieć. Każda (zachodnia) waluta jest przyjmowana.

## CO MI SIĘ WYDAWAŁO

Poznałem Włocha-komunistę. Dowiedziawszy się, skąd przybywam, nie tail swoich poglądów i przekonań. Zapomniałem go o partię.

— Nie należy do partii — powiedział — Gdybym należał straciłbym pracę. Mam troje dzieci.

— B i dla mnie bardzo serdeczny. Wozził mnie własnym samochodem. Wydał mi się, że to był „Fiat”.

O sztuce włoskiej pisano już tomy. Wiem tylko, że próba nauce przekonała się o wspaniałościach włoskiej sztuki jest dość kosztowna. Do każdego muzeum, do każdego zabytku — wstęp płatny. Nawet

„Ostatnia wieczerza” Leonarda umieszczona w refektarzu klasztoru przy kościele S. Maria delle Grazie wymaga opłaty. A przy naszych dietach — to problem.

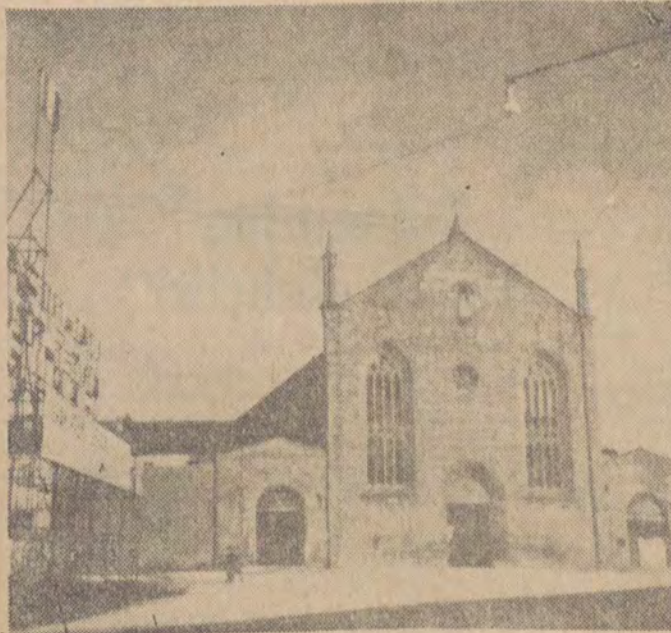
\* \* \*

W architekturze włoskiej uderza niezwykle oryginalne połączenie starych zabytków z nowoczesnym budownictwem. Obok pięknych harmonijnych w swej prostocie bloków i will, upstrzonych kolorowymi szronami w oknach, kolorowymi balkonami i dachami — toną w ogrodach stare pałace, cokolone rzedami cyprysów i pinii, z wodotryskami, wśród klombów i kolumnad u portali. Z szerokiej arterii łatwo się można dostać do wązki uliczki starych miast, pełnych gwaru, sklepów, zapachów — w ustronniejszych miejscach — suszące się w poprzek ulicy bielizny.

Bardzo włoską wydała mi się wązka uliczka w górnej części Bergamo, którą szedł młody cukiernik, niosąc tarcę z ciastkami na słow. i śpiewając słodko popularną piosenkę „Ciao, ciao, bambino”. Z jakiegoś okna wiórował mu patefon.

I bardzo włoskim wydał mi się malowniczy zakątek Werony, m.asia będący ongi stolica Teodoryka Wielkiego, króla Ostrogotów, w którym obok starego i olbrzymiego amfiteatru z czasów Dioklecjana znajduje się parking setek skuterców. Naprzeciwko zaś jest niezwykle uchlawa i wieczorem tysiącami neonów, wystaw i jarmenowych latarni oświetlona barokowa uliczka starego miasta.

I bardzo polskim wydał mi się tonący w ciemnościach, kochany, swojej port lotniczy w Warszawie.



Kościół Sant'Agostino, w którym odbywał się przegląd filmów festiwalu w Bergamo

poprawienie tych warunków, ale instytucje mogące zdziałać coś w tym kierunku robią to w iście złotym tempie. Wydział Kultury Prezydium MRN od roku niemalże obiecuje usunąć z terenu MzDK osoby prywatne, zajmujące trzy pokoje z kuchnią. Dyrekcja czeka — trzy nowe pomieszczenia zmieniłyby znacznie obecną sytuację.

Kierownicy i instruktorzy MzDK nie mają łatwej pracy. Międzyzakładowy Dom Kultury to nie Łódzki Dom Kultury do którego zainteresowani sami przychodzą czy to na odczyty czy z prośbą o przyjęcie do którejś z licznych sekcji. Warunki w takich pracach są zupełnie inne. Okoliczna młodzież

dziś jeszcze woli „ubawy” z wódka i mordobiciem od „jakichś tam wyższych gadek”. Niełatwo jest więc wytworzyć u niej nawyk kulturalnej rozrywki. Do tego rodzaju osrodka niezbyt chętnie się garnie. Dlatego też MzDK nie może sobie pozwolić na oczekiwanie z założeniami rekoma aż młodzież sama do niego przyjdzie, musi jej wychodzić naprzeciw. Powoli i cierpliwie stara się przekonać ją, że ubawy, rozróby i wódka nie mogą być jedyną sferą zainteresowań młodego człowieka. Żmudna praca daje dobre wyniki, można się o tym przekonać już dziś, obserwując stale rosnącą liczbę uczestników i sympatyków Międzyzakładowego Domu

Kultury. Często usłyszeć można narzekania, że młodzież jest pozbawiona godziwej rozrywki, że waleśa się i rozbija bo nie ma gdzie zaspokoić swoich zainteresowań. Nie ma gdzie? Jest. Tylko trzeba trochę poszukać. Wyjść poza rytualny krag kawiarnianych nasiadówek i bezmyślnych rajdów po deptaku, odszukać „Kopciuszka”. Międzyzakładowy Dom Kultury im. L. Waryńskiego przy ul. Przedzalnianej 68 nie jest samotny, jest w Łodzi jeszcze wiele osrodków tego typu, gdzie można z przyjemnością i pożytkiem spędzić wolny czas. Warto!

W. LUSZCZYKIEWICZ  
Zdjęcia: L. W.





Danuta Debichowa.

## Łowy na aktora

Nie jest przypadkiem, że analizujemy na tym miejscu takie problemy jak sprawa właściwego doboru kadr i ich kształcenie dla telewizji. Każdy kto patrzy na ekran telewizyjny z uwagą, ma jakieś takie pojęcie o kształtowaniu programu, nie może nie zastanawiać się jaka będzie przyszłość TV skoro teraźniejszość jest czasami smutna... A więc nie jest to tylko temat dla fachowych biuletynów wewnętrznych TV, ale chyba również dla publiczności kulturalnej, wiadomo bowiem, że telewizja jest olbrzymią i coraz to większą machiną kulturalną.

Dzisiaj pomówimy o łowach na aktora. Chodzi tu o sprawy ważne, bo o zdobywanie wykonawców dla teatru i estrady TV. Mam ostatnio nieco do czynienia z tymi sprawami w radio i co widzę? Kwestia powodzenia lub legnięcia np. jakiejś audycji rozrywkowej to kwestia zdobycia lub nie zdobycia odpowiedniego aktora. Jedni realizatorzy mają szczęście: taka lub inna gwiazda teatru czy estrady miała wolny wieczór. Uświetniła audycję. Słuchacze, czy telewidzowie pochwalili. Autorzy teatru i pozostałych realizatorów wzrosło. Mówi się o nich: to bardzo zdolni ludzie. I słusznie. Ale następnym razem gwiazda estrady, czy teatru nie miała czasu. Wzięło zastępstwo. Nawet nie było ono najgorsze ale... O realizatorach mówi się: of przeciętnie zdolni faceci, nie można na nich zbyt polegać.

Staje zatem sprawa aktora radiowego czy telewizyjnego, aktora własnego na własnym etacie, aktora dyspozycyjnego, na którego czasie można absolutnie polegać. W tej chwili bowiem najczęściej czasu i nerwów zabiera nie przygotowanie literackie, scenograficzne, muzyczne czy reżyserskie widowiska lub koncertu, a skomplikowane lawirowanie celem ustalenia choćby jednej wolnej godziny u 10 czy

5 aktorów dla odbycia próby. Jeden ma film, drugi ma próbę w teatrze, trzeci chałturzy czyli daje gdzieś koncert. W ten sposób odbycie jednej próby kosztuje więcej niż przygotowanie całego spektaklu w normalnych warunkach. A dodajcie do tego jeszcze fakt, że godzina to jest 60 minut i ani jednej więcej. Reżyserowi może przyjść w 59 minucie wspomniany pomysł, a artyści już są w paletkach. Już są przy drzwiach.

Nie wiem jak wyglądały te sprawy przed wojną. Czy gwiazdy naszej estrady np. tak rzecznie wspomnianego „Qui pro quo” też pracowały podobnie jak nasi współcześni aktorzy i piosenkarze od rana do nocy i to za każdym razem gdzie indziej? Alina Janowska udzielając wywiadu w „Tele-Echu” powiedziała że swoją córeczkę widzi pół godziny dziennie. W nocy też jej nie widzi bo zaraz po występie w „Szpaku” jedzie samochodem do Łodzi gdzie kręci film. Wraca po południu, próba nowego programu, coś zje i „Szpak”. A dodajcie jeszcze czasem rolę w teatrze, czy TV? Jak długo tak można?

I nic dziwnego, że potem „sypia się” tacy przemęczeni ludzie w audycjach nagrywanych publicznie, w nadawanych na żywo programach telewizyjnych. Zawsze do opracowania roli brakuje im kilku prób i czasu na pamięciowe jej opanowanie. Stąd też postulat by radio i telewizja już teraz pomyślały o stworzeniu sobie zespołu własnych aktorów, estradowców i piosenkarzy. Przy rozmiarach programów nadawanych przez te obie instytucje dłużej „paszytować” na teatrach nie można. A jak dotąd wszyscy aktorzy zatrudnieni są na etatach w teatrach. Teatry dobroczynnie przykują oko na to, że ich pracownicy zasilają film, radio, telewizję i inne instytucje artystyczne. Ale kiedyś to się skończy. I co? Trzeba też wreszcie pomyśleć o zorganizowaniu planowej pracy nad przygotowaniem repertuarów, pracy, która będzie posiadała wszelkie znamiona działalności twórczej, będzie prowadzona w spokoju, bez nerwów, bez pośpiechu. Wszyscy za taką pracą tęsknią, ale zorganizować jej sobie jak dotąd nie potrafią.

Ergo: myśląc o perspektywach rozwoju telewizji i radia nie podobna nie myśleć o przygotowaniu stałego zespołu wykonawczego będącego do wyłącznej dyspozycji obu tych instytucji.

Tak nam się przynajmniej wydaje. Nam telewidzom i radiosłuchaczom.

W. M.

# TELEWIZJA

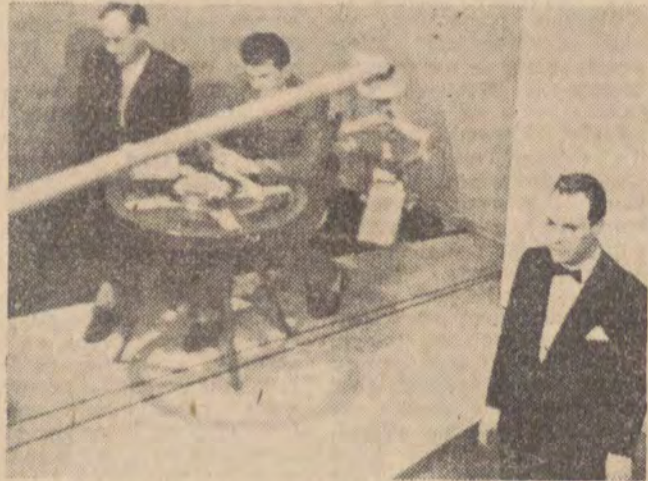
Kwitujemy odbiór

## Jeszcze o teleturniejach

W ubiegłym tygodniu oglądaliśmy jeszcze dwa teleturnieje: jeden z cyklu „Słowa i słowa”, w którym brały udział dwuosobowe drużyny, oraz drugi indywidualny, pod szumnym hasłem „Szukamy fenomenów pamięci”.

Ten drugi teleturniej był nawet ciekawszy, choć nie stał na zbyt wysokim poziomie — zwyciężczyni (zresztą — o ile dało się zauważyć — ładna i miła dziewczyna) miała pamięć niezłą, może nawet dobrą, ale nigdy fenomenalną, co — jeżeli ktoś chce — można złożyć na karb tremy, ale ja w to osobiście nie wierzę.

Najlepszy interes w związku z tymi imprezami zrobił wszelako „Gallux”, jako że nagrodami były bony do tej szacownej instytucji. W pierwszym teleturnieju — po czterech zwycięstwach — można było dojść do bonów wartości 1600 złotych polskich, w drugim — otrzymać w bonach 3000 zł. Patrząc z zazdrością, jak wręczano te bony na lewo i prawo, myśląc sobie filozoficznie, że niezadługo warszawianie staną się najelegantszymi ludźmi na świecie.



Właśnie warszawianie, jako że stolica jest w tej materii wyraźnie uprzywilejowana, a trudno żebym wydał ponad 100 złotych i ryzykował odpadnięcie już w eliminacjach. A jakie ma szanse ktoś mieszkający w Szczecinie, wobec kogoś mieszkającego zgola na Mokotowie czy nawet Saskiej Kępie?...

### „BAJKA NOWOROCZNA”

W poniedziałek — znów ubiegły — bardzo ładnie „postawił się” natomiast warszawski Teatr Telewizji, demonstrując nam „Bajkę noworoczną” Włodzimierza Dudincewa.

To ciekawa sztuka, mimo że w zakończeniu cośkolwiek zanadto lukrowata, warta napewno powtórzenia i to już w najbliższym czasie.

Ciekawa i doskonała gra! Świetna rola Mariusza Dmochowskiego (skądinąd sławnego detektywa Joe Alexa znanego z licznych „Kobr”), doskonały Stanisław Jasiukiewicz. A jaka rola zasłużonego weterana polskich scen Kazimierza Opalińskiego! Jak ładnie robi swój epizod Alicja Raciszówna (której na tym miejscu przesyłam ukłony od łódzkiej publiczności)...

Dobre, dobre przedstawienie — przypuszczam, że trafi-

ło do każdego telewidza, że wszystkich jakoś poruszyło i dało im jakieś przeżycie. Nie będę się może dłużej rozpisywał na ten temat, odkładając to na chwilę ewentualnego wznowienia bo wznowić tę pozycję — warto!

### TEATRZYK „VIOLINEK”

Mimo, że zarówno autorzy tekstów, jak i kompozytorzy cokolwiek splukali się z pomysłów, dziecięcy teatrzyk muzyczny „Violinek” jest pozycją zawsze do oglądania i słuchania, czego — mamy nadzieję — nasi czytelnicy nie zaniedbują.

### BOKS

Z tym boksem to cała heca. Obecnie I — ligowe mecze oglądamy co niedziela o 11-ej, oczywiście w miarę ochoty. Ale zdaje się, że większość telewidzów ma ochotę na te ligowe zapasy (zarówno w dosłownym, jak i w przenośnym znaczeniu tego słowa), a tu już nasuwa się pytanie: jeżeli mamy filmy dozwolone od lat 12, 14, 16 i tak dalej, to od ilu lat jest dozwolony boks?

Niechby nawet mieli tykającą siaczną rację ci teoretycy, którzy głoszą, że boks jest piękną sztuką samoobrony, rozwijającą w człowieku takie cechy jak błyskawiczny refleks czy odwagę, to będą oni mieli tę rację jedynie w abstrakcji, a nie w odniesieniu do konkretnych pojedynek, jakie oglądamy na małym ekranie. I jeżeli potem zachęcony wytwornym przykładem smarkacz wybiłe swojemu rówieśnikowi dwa (niechby i mleczne) zęby, stawiając tym samym pierwszy krok na drodze do olimpijskiej kariery, to czy ta „sztuka samoobrony” — w tym wypadku aktywnej — będzie się rozwijała ku chwale naszego sportu, czy ku kłopotowi naszych pedagogów?!

Prawdę mówiąc nie mamy do końca wyrobionego zdania na ten temat i chętnie wysłuchalibyśmy opinii. Czekaamy.

### DISNEYLAND

Filmy z serii „Disneyland” i tak wszyscy oglądamy, więc nie ma co filozofować na ten temat. Ostatnio było kilka pozycji słabszych, choć i tak zna komitych.

J. PANASEWICZ



## KUPIĆ, NIE KUPIĆ

### Wystawa malarstwa Stefana Wegnera



gner jest pedagogiem WSSP w Łodzi od początku istnienia tej szkoły (1945 rok) zaś przed wojną związany był z grupą a. r. Jako następni w „Salonie 10 obrazów” wystawia swoje prace artyści-malarze: Lech Kunka, Stanisław Fijałkowski, Teresa Tyszkiewiczowa, Edward Kuśnierz i inni.

(Foto — G. Pucinto)



Związek Literatów Polskich w Łodzi zorganizował u siebie stałą imprezę wystawienniczą. Jest to „Salon 10 obrazów”. Jako pierwszy wystawia w nim swoje prace prof. WSSP w Łodzi — Stefan Wegner.

Warto przypomnieć, że profesor Wegner otrzymał ostatnio propozycję wystawy indywidualnej w warszawskiej „Zachęcie”. We-

## Stanowczo nie kupić

Maluczko, a poszłaby w zapomnienie uroczą gra nosząca obiecującą nazwę „Flirt miłosny”. Niestety, jakiś skromny anonimowy producent nie dopuścił do tego. Ostatnio bowiem pokazywały się w Łodzi niewielkie komplectki kart zadrukowanych perelkami w rodzaju: „Nie zrywaj mi nie pięknych marzeń”. Jak widać autorem flirtu nieobecnie są poetyckie wzruszenia. Nieobecne są im również tajemnice rymu i rytmu. Ot na przykład: „O moja donno, jeśliś mi skłonna, pojedziemy konno tą nocą wonną”.

Autorzy błyskają także przednim dowcipem dowci-

pem w rodzaju: „Miłość to uczucie głupie...” itd. lub „Czy chciałabys być podporucznikiem?”

Jak się dowiadujemy flirt cieszy się szczególną popularnością wśród młodzieży szkół... podstawowych. Nic to zresztą dziwnego, teksty flirtu są przecież rozbrajająco infantylne.

Na zakończenie jeszcze jeden cytat: oto sentencja nr 18 „Głupca należy oddać do domu dla umysłowo chorych”. Zalecenie nader słuszne. Niestety, jak się zdaje, anonimowy autor i producent cieszą się jeszcze wolności.

## Tajemnica „Domu Książki”

W tych dniach ukazała się na półkach księgarskich interesująca praca prof. Jerzego Sawickiego pt. „Tajemnica zawodowej i dziennikarza”, wydana przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Nie trzeba chyba dowodzić potrzeby takiej publikacji. Rzecz w czym innym.

Otóż „Dom Książki” jak się zdaje, nie dostrzegł różnicy między pracą prof. Sawickiego a na przykład

książką kucharską. Już bowiem pierwszego dnia „Tajemnicy zawodowej” w Łodzi zabrakło. Można ją natomiast bez trudu otrzymać w małych księgarniach prowincjonalnych miasteczek. Coś, jak widać, nie gra w tej całej historii.

A może „Dom Książki” chce w ten sposób naklonić dziennikarzy do częstszych wyjazdów w tzw. teren. Ale to już, jak się rzekło, tajemnica „Domu Książki”.

## Wrócili z łarczą

W poprzedniej kroniczce pisaliśmy o wyjeździe grupy poetów do Poznania na Festiwal Młodej Poezji. Dziś z przyjemnością donosimy, że Łódź wniosła do Festiwalu swój bardzo konstruktywny głos. W dyskusji ogólnie zdobyły się głosy Mariana Piechala i Anny Pogonowskiej.

W najbliższym numerze Czytelnicy znajdą felieton informujący szczegółowo o Festiwalu.

za wiersz „Piosenka” drukopisany w poprzednim numerze „Odgłosów”. Drugie miejsce zajął również łódzianin Józef Wiśniewski.

W konkursie otwartym honorem wyróżnienie (razem z Grześcakiem i Sliwonikiem) zdobył Konrad Frejdlich.

W konkursie jednym wierszem pierwsze miejsce zajął Marek Wa w r z k i e w i c z.



Zakończyliśmy audycję pt. „Mile zwierzęta naszych pól i lasów”.

Redaguje Zespół \* Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” \* Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96. Tel. 244-79. \* Warunki prenumeraty: miesięczna 4,- zł kwartalnie 12,- zł \* Redakcja nie zamawia rekopisów nie zwraca \* Prenumerate, przyjmując wszystkie płaconki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Łódź, Zwirki 17 Z. 5441. XI. 60 r. R 4



**W KLUBIE LITERACKIM**

Koledzy... Czy doprawdy uważacie mnie za naiwniaka? Czy sądzicie, że spadłem z planety Wenus?

Bo coś innego mogą oznaczać wasze uśmiešky i tajemnicze szepty, które milkną z nagle, ilekroć przekraczam próg klubu?

Rozumiem doskonale. Jest to zмова przeciw mojej osobie. Chi, chi, chi!... Mu-

siałbym być w ciemny bity, gdybym się już dawno nie spostrzegł, że czynicie przygotowania do obchodu mego jubileuszu.

Jaki jubileusz?... Co za pytanie!... Przecież każdy sztubak w szkole podstawowej odpowie bez zająknięcia, że trzydzieści lat temu ukazał się na półkach księgarskich mój zbiorek „Brdą kajęca drumla”, który oznaczał punkt zwrotny i nową epokę w dziejach naszej poezji.

Trzydziestolecie twórczości literackiej — to ładny kawał czasu, a i dorobek nie lada!

Hm... Jestem z natury skromnym człowiekiem i nienawidzę wszelkich uroczystości. Ale cóż? Nie będę się sprzeciwiał. Róbcie ze mną, co chcecie... Ja się nie wtrącam do tych spraw!

**W RESTAURACJI**

Czy mogę mówić z klerownikiem hotelu i restauracji „Astoria”? Moje uszanowanie! Jestem... hm... Kajtana Gęsiepioro. Moje nazwisko jest panu znane.

Otóż w waszym lokalu odbędzie się... tak jest... jubileuszowy bankiet. Chciałbym poznać pewne szczegóły tej podniosłej uroczystości. Hm... Dlaczego sala białokarna? Jak mi wiadomo, ambasady dają raczej pierwszeństwo sali pomarańczowej. Jest bardziej reprezentacyjna...

Stół w podkowie? Ech... anachronizm! Czy nie roz-

sądniej byłoby ustawić dwadzieścia mniejszych stolików — a jubilat pośrodku, dla wszystkich równie blisko i dostrzegalny.

Poproszę o kartę... Hm... Cóż to za bankiet bez ryby? Stanowczo upieram się, aby po zakąskach podano sandacza z rusztu lub szczupaka w majonezie. Do tego kiellaszeczek koniaku, możliwie Martell, no i lampkę włoskiego wytrawnego wina...

A orkiestra wasza — jazzowa, nic nie szkodzi — niech przygotuje marsza triumfalnego z opery „Aida”... Po przemówieniu pana prezesa Wojdyła-Wojdygi...

Poza tym, ze zrozumiałych względów, pozostawiam panu pełną swobodę. Ja się nie wtrącam do tych spraw!

**W REDAKCJI**

Szczałem dziś łaskawego kolegi! Jak tam zdrowko? Otóż sprowadza mnie do redakcji waszego poczytynego pisma trochę... hm... drażliwa okazyja. Tak jest... jubileusz... Podziwiam domyślność pana kolegi!

Dowiedziałem się... hm... z wiarygodnych źródeł, że w jutrzejszym numerze ma się ukazać artykuł dotyczący mojej skromnej osoby. Czy nie mógłbym się zapoznać z jego treścią?

Dziękuję. Ja tylko tak... jednym okiem...

Wielce czełgodyny panie redaktorze! To chyba niedopatrznie. Pisze się, że jestem wybitnym poetą w ska-

li krajowej. Biorąc pod uwagę sukces moich... hm... rymowanych pierwołnic... raz bardziej nowatorskich utworów, należy stwierdzić bez przesady, że zajmuję poczesne miejsce co najmniej w skali europejskiej. Chciałbym przypomnieć chociażby popularność mego dwuwiersza, który przez długi czas był na ustach całego narodu:

*Kocham cie, o Leno,  
co masz wlos jak len, o!*

Pozwalam waszej gazecie na bezpłatny przedruk tej lirycznej perełki.

Rzecz jasna, że były to tylko uwagi na marginesie. Niech moje dzieła mówią za mnie... Ja się nie wtrącam do tych spraw!

**NA BANKIECIE**

Hm... hm... Otrzymałem dzisiaj tyle dowodów podziwu i uwielbienia zarówno ze strony mówców, jak i słuchaczy, że trudno mi opanować cisnące się do oczu łzy...

Szczególnie wzruszył mnie egramy przez orkiestrę marsz triumfalny oraz artykuł w naszym popularnym piśmie, określający moją rolę w literaturze europejskiej.

Jestem z natury skromnym człowiekiem i kto wie, czy zasłużyłem na tego rodzaju hołdy... Ale tak już bywa los jubilata, któremu nie przystoi wtrącać się do tych spraw...



(Express Wieczorny, Ilustrowany, Łódź, r. 1929 m-ce VII — XII, nry 195, 200, 202, 205).

**ZMIERZCH FILMU NIEMEGO**

W Łodzi sześć przedstawień „Spiewającego błazna”. Londyn nie posiada już ani jednego kina niemego. Z niedowierzaniem a nawet lekceważeniem słuchano u nas wieści o „nowym amerykańskim humbugu” tzn. o filmie z dźwiękiem. Dziś kino wkroczyło już zdecydowanie w nową fazę rozwoju.

**PUBLICZNOŚĆ MECZOWA**

w Łodzi skarży się ciągle na... dorożkarzy. W bieżącym roku wszystkie mecze ligowe odbywają się na boisku przy placu Hallera, gdzie dojeżdża 17-tka. Dorożkarze, zaś chcąc jaknajprędzej zdobyć pasażerów, aby ewentualnie jeszcze raz powrócić, robią zamieszanie, na czym cierpi publiczność meczowa, która musi wysilać całą swoją uwagę by nie dostać się pod kopyta końskie.

**AUTOBUS BEZ PASAŻERÓW**

może się pokazać na ulicach Łodzi ale zapelniony — nie ma prawa wjazdu ani wyjazdu. Władze zabroniły. Autobusom wolno przywozić do miasta tj. do śródmieścia tylko bagaż ręczny, natomiast sam pasażerowie muszą wysiadać na peryferiach miasta. Przyczyną tego jest ściśle respektowanie umowy zawartej przed kilkudziesięciu lat pomiędzy miastem a KEL o licen-

cji wyłącznej na ruch pasażerski po Łodzi dla KEL.

**„MADONNA SLEEPINGU”**

to przeróbka powieści Dekobry, która odniosła w paryskich teatrach bezprzekładny sukces. Sztuka ta ma być przetłumaczona i w przyszłym sezonie wejść na polskie sceny.

**DOMY SIĘ WALA**

Sprawa bezpieczeństwa łódzkich kamienic jest zwłaszcza teraz wysoce aktualna, zwłaszcza w okresie przyłączania kamienic do sieci kanalizacyjnej. Wzorem stolicy powinno być w Łodzi utworzone pogotowie budowlane po 2 techników na każdy komisariat.



45.000 zł ZAPOMOZI

otrzymają półbezrobotni m. Łodzi (tj. pracujący tylko 2 dni w tygodniu). Na sierpnie br. Urząd Wojewódzki wyasygnuje na skutek próśby związków zawodowych kwotę 45 tys. zł.

**WYWOLYWAĆ PRZYSTANKI**

Rozporządzenie Ministerstwa Komunikacji, które się niedawno ukazało mówi: Konduktor winien wywoływać nazwy przystanków, okazywać pomoc starcom, kalekom, chorym i dzieciom, unikać zatargów z publicznością i zachowywać się taktownie. Winien pomagać publicznie przy zatrzymywaniu złodziei czy osób wszechjąjących awantury, wzywać policję. Pasażerowie nie mają prawa: być osobami nietriźwymi, ubranymi niechlujnie, lub mogącymi powalać i zanieczyścić innych lub wagon. Nie wolno korzystać z tramwajów osobom wzbudzającym odrazę chorobową, brudem lub wonią, osobom z psami, kotami, innem zwierzakami lub ptakami, które innych podróżnych narazić mogą na niebezpieczeństwa z powodu woni lub innego powodu...

wybrał: ZDZISŁAW KONICKI

**MATEMATYKA TWÓRCZA**

Ma jedną rzecz drukowaną, fragmenty dwóch opowieści, a już zasłużył na miano pisarza od siedmiu boleści.

**O POEZJI OKOLICZNOŚCIOWEJ**

Wartkim leje się strumieniem i namiastkę dzieł twórczości wiersz, dla którego natchnieniem bywa kartka z kalendarza.

**O SMUTNYCH WIERSZACH PEWNEGO LIRYKA**

Czytając je ronilem na karty tomiku lzy współczucia gorące... Z tobą, czytelniku!

**HORACY SAFRIN**



**RECENZENT W OPALACH**

Pewien płodny recenzent wpadł w kolegiów grono, gdzie spór na temat nowej powieści toczono. Zapytany o zdanie, odparł: „Towarzystwo! Ja nie mam czasu czytać — ja recenzje piszę”.

**LITERAT-MALKONTENT**

Nieszczęsny pływak! Stałe się głowi, jak by popłynąć przeciw prądowi...

**O POLEMIKACH OSOBISTYCH**

Piorą brudną bielizną. Aż mnie zazdrość bierze! Może znajdzie się taki, co moją wypierze?

**NA ŚMIERĆ AKTORA**

Mawiał o nim reżyser: „Każdą rolę grzebie!”  
Więc w tej roli ostatniej sam prześcignął siebie.

**Najostrzejsze otówki świata**

Nie jest wielu humorystów w NRF, którzy znacząco na terenie międzynarodowym; humor niemiecki nie może się jakoś wyzwoleć z tradycji ciężkiego, tłustego dowcipu. Poza omawianymi już w naszej rubryce Fischerem, Holzem i Nobertem — rzadki wyjątek od tej reguły stanowi twórczość najmłodszego z nich rysownika, ukrywającego się pod lapidarnym kryptonimem „Ane”. Aribert Neslinger — tak brzmi pełne nazwisko niemieckiego karykaturzysty — zyskuje sobie w szybkim tempie

coraz większą popularność w całej Europie, nie wyłączając Polski, w naszej prasie ukazało się już sporo przedruków jego zręcznych żartów.

Co nowego prezentuje w swych dowcipach Ane?

Już pierwszy rzut oka na załączone rysunki daje nam to odpowiedź.

Neslinger podejmuje próbę stworzenia żartu jednoosobowego, gdzie „gra” tylko jeden bohater. Zamierzenie trudne, jak wiemy z doświadczenia komizm sytuacyjny lub słowny rodzi się zwykle między co naj-

**ARIBERT NESLINGER**

miej parą ludzi, którzy mają różne interesy, lub usposobienia... Portrety Neslingera nie mają poza tym nic wspólnego z karykaturą, przedstawiająca zawsze jakieś autentyczne postaci.

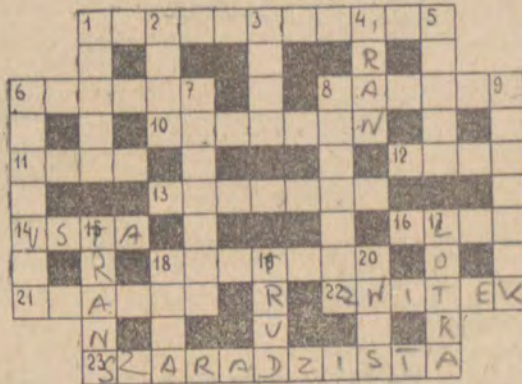
Postacie z rysunków Ane są anoniimowe, a efekt komiczny uzyskiwany jest zawsze tą samą metodą — poprzez prowadzenie rekwizytu. Czasem jest to rekwizyt kłopotliwy (młot pneumatyczny), czasem — w niewłaściwym zastosowa-

niu (krawat na biodrach Murzyna). Humor Neslingera jest pogodny, nastrojem i lekkością bliski żartom sławnego Peyneta. Te żarty są nowoczesne, bo tłumaczą się jednocześnie samym tylko rysunkiem — a przecież osiągnął Neslinger tę nowoczesną formę bez epatowania makabrą i absurdem. Sympatyczny rysownik — jak sympatyczni są bohaterowie jego prościutkich dowcipów.

(jert)



**NASZA KRZYŻÓWKA**



**Znaczenie wyrazów:**

- Poziomo: 1) Pisarz polski, 6) Przyjaciel Aramisa i Atosa, 8) Srodek odkażający, 10) Ruchożna zastawa, 11) Scież, linia ściegu, 12) Popis, pojedyncza utarczka przed bitwą w dawnych czasach, 13) Dowcip, pomysł, 14) Dwie wargi, 18) Drzewo liściaste, 19) Brakorób, 21) Miłośnik, 22) Zwój, 23) Miłośnik rozrywki umysłowych.

- Pionowo: 1) Wyobrazalne siedlisko uczuć, 2) Bajkopisarz, 3) Zdobniące imię żeńskie, 4) Wiersz, 5) Zwierzę afrykańskie, 6) Postawa zewnętrzna człowieka, 7) Przyczód do przygotowywania wody na herbatę, 8) Miejscowość wczasowa na Dolnym Śląsku, 9) Przrzęd pomiarowy wskazujący liczbę zużytych jednostek energii elektrycznej, 15) Stan snu hipnotycznego, 17) Kość skrzydłowa u ptaków, 18) Postawa, układ postaci, mina, 19) Znoś, praca, 20) Pionowa odległość wiszącego elementu od linii prostej

łączonej punkty jego zamocowania na sąsiednich podporach.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z numeru 37:

Poziomo — hydroterapia, polana, organ, Arado, ryłec, grunt, ruderka, mechanizacja.

Pionowo — honorarium, ozon, rana, adwokat, parter, amfora, cuma, gruz.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Zofia Wysocka, Łódź, ul. Sterlinga 12

2. Jan Krzeslak, Łódź, ul. Próchnika 22, m. 17.



# SZTUKA FILMOWA

## W AWANGARDZIE CZY W OGONIE?

(Artykuł dyskusyjny)

Dziesiąta Muza, muza cywilizacji i techniki, epoki atomu i plastyki Sztuka nowoczesna, supernowoczesna, najnowocześniejsza. Zwierciadło ducha dzisiejszych czasów i duszy dzisiejszego człowieka. Czy istotnie? Czy tylko pozornie?

Fakt, iż film dzięki swym środkom technicznym i artystycznym ma nieograniczone niemal możliwości odkrywania prawdy o współczesnym świecie i o współczesnym człowieku — nie ulga chyba najmniejszej wątpliwosci. Wszystkie jednak znaki na ekranie wskazują, na to, iż film tych możliwości nie realizuje. Co gorsza, jest on w gruncie rzeczy najbardziej tradycyjną, najbardziej dziewiętnastowieczną i najbardziej zacofaną ze sztuk. Nie bez racji Jean Cocteau oświadczył, że termin awangarda stracił już sens w odniesieniu do sztuki, gdyż cała sztuka jest dziś właściwie awangardowa. Cała sztuka z wyjątkiem filmu. Film uwolnił swe starsze siostry w Apollinie od konieczności opowiadania i przedstawiania zdarzeń „żywcioowych”, od funkcji zwierciadła rzeczywistości. Zwrócił literaturze co literackie, malarstwu co malarzkie, a teatrowi co teatralne. „Wyzwolone”

sztuki powędrowały radośnie w stronę kracjonizmu, tworząc tętniące własnym a nie obitym życiem światy.

Nieborak film wziął zaś na swe młodzieńcze i nieodświeżone barki kłopot starczania spragnionemu wiązowi i naturalistycznego teatru, i wiktoriańskiej powieści, oraz uswiececonego patyną stulecia malarstwa. Tak wana bowiem sztuka nowoczesna jest niewątpliwie obca i niezrozumiała dla szerokiej rzeszy publiczności, stnieje dla garstki samych artystów, ich przyjaciół oraz snobów którzy gorzej lub lepiej adają, że coś z tego rozumieją.

Ktoś jednak musi zadociecynic gustom tzw. szerokiej mas. które nadal za-czytują się Kraszewskim i „wasem, i żywją nabożny kult dla dzieł Matejki. To przede wszystkim dla nich „żują się filmy. Bo kinematograf będąc przemysłem, musi być jednocześnie sztuką masowego odbioru. Musi liczyć się z poglądami i zamówieniami przeciętnego śmiertelnika. Filmy nie mogą leżeć na półce i czekać na przychylną ocenę potomności. Życie dzieła utrwalonego na kruchej taśmie celuloidowej jest czasem krótsze niż życie motyla. Dlatego film niestrudzenie eksploatuje zwierzęce już

konflikty i schematy sytuacyjne, dawno zarzucone przez dzisiejszą epikę i dramat. Różnego rodzaju „ostatnie akordy” wyciskają morze łez z wzruszonej publiczności. Tradycyjne treści narzucają same przez się tradycyjny kształt dramaturgiczny widowiska filmowego i: przyuczony, akademicki tek narzuci. Tak toczy się filmowy światek w spokojnym, pięknym wieku dziecięctwem.

Niektórzy krytycy do znużenia powtarzają tezę o potężnym wpływie filmu na prozę nowoczesną, szermując przy tym hojnie nazwiskami Das Passosa, G. Grkenc, Robbe Grilleta, Butora, Sartre i innych, nie mówiąc już o przysławionym niemal Prouście, którego noga nigdy ponoć w kinie nie powstała.

Doświadczenia widza kinowego i doświadczenia czerpiącego czytelnika książek uczy, że literatura pokała film w wielkim zwycięstwie do nowoczesności. bi-jać go tego własną bronią. Literatura wykorzystana i doprowadzona do perfekcji wszystkie możliwości twórcze z techniki filmowej i nie wykorzystywana w produkcji filmowej. Nigdy mechanicznie oko kamery nie osiągnęło takiego bezosobowego obiektywizmu narracji

jaki znaleźć można w „Obcym” Camusa. Nigdy reżyser nie postąpił się w takiej mierze montażowym łamaniem czasu i przestrzeni jak Sartre w „Drogach wolności”. Nigdy technika skojarzeń nie osiągnęła w filmie takiej doskonałości jak w prozie Prousta czy Faulknera. Trafnie zauważył znakomity krytyk francuski A. Bazin iż tzw. superfilmowa literatura wywodzi się właściwie z filmu idealnego, z filmu jaki byłoby pisarz, gdyby był filmowcem.

Sprawa bezpośredniego wpływu filmu na dzisiejszą awangardę literacką jest więc bardzo problematyczna. Natomiast awangardowy film fabularny jest absolutnie nie do pomylecia bez uwolnienia prozy i dramatu. Co więcej, jest w stosunku do nich zjawiskiem wtórnym. „Obywatel Kane” czy „Horszuma moja miłość” postępują się dadassewską techniką za-arczpania materiału dokumentalnego w żywją tkankę fikcji fabularnej. Odrzucają tradycyjną koncepcję akcji akceptując dramaturgię pozorowego „niezдания się” (Beckett, Butor). Specyficzna formula narracyjna tych dzieł, wyrasta z doświadczeń prozy Prousta, Joyce’a i Faulknera. Nawet po-



zornie antyliteracka technika narracyjna niektórych filmów neorealistycznych jak choćby „Złocizli rowerów”, a zwłaszcza „Umberto D” kontynuowana w sposób jeszcze bardziej konsekwentny przez „Indie” Rossellini’ego — tkwi korzeniami w behawiorystyce, w prozie typu Robbe-Grilleta i teatrze awangardowym spod znaku Becketta.

Dyskusja wokół tzw. anty-filmu sprawkowanego „Śladkim życiem” Felliniego jest jeszcze jednym argumentem awangardy filmowej nie w tej sprawie. Wtórność awangardy filmowej nie jest zresztą zjawiskiem nowym. Impresjonizm czy symbolizm w kinematografii wskazywały upiory dawno już porzuczone w nurtach innych sztuk. Dzia-

siejsze poszukiwania twórców iowoda, iż dysonans pomiędzy burzliwym rozwojem techniki filmowej a samym medelem sztuki, która usnęła snem sprawiedliwych na przyjacjach osiągniętych w latach 30-tych, staje się coraz jeskawczy. Czyż nie znamienne jest fakt iż tak nowoczesne (jak wszyscy podkreślają) dzieło — „Kieszka moja miłość” pod wieloma względami przypomina zrealizowanego przed 18 laty „Obywatela Kane”? Z drugiej strony kierunek tych poszukiwań świadczy być może o tym, iż literatura nowoczesna pozyskała już w pewnym sensie aprobatę odbiorcy — X muza jest bowiem przeczona i gniła niebezpiecznych eksperymentów.

MARIA KORNATOWSKA

## „NIKT NIE WOŁA”

Dziwny to film. Podoba się, ale pozostawia w dca obojętny. Nie budzi żadnych uczuć. Czasem tylko usmiechamy się z apatia, gdy np. Bożek przez solidarność z dziewczyną zdejmuję buty, gdy „burmistrz” po raz n-ty powtarza swój okrzyk-za-czepkę. Nie obchodzi nas przesławne Bożka-Boukolowskiego, nie niepokoí przy-ścisłość, nawet wiedzy, gdy pojawia się realna groźba. Ta obojętność w dca wobec akcji jest najsłabsza, a zarazem najmocniejszą stroną filmu Kutza.

Najsłabszą dlatego, że w zasadzie film mimo pozorów jest wyprany z treści. Problem Bożka stał się tylko kolejnym warantem problemu Maćko z „Popiołu i diamentu”. Streścić go można w jednym zdaniu, które wypowiada sam Bożek: „Mam skrupuły, ale nie żałuję”. Ma skrupuły, że nie wykonał rozkazu a jednocześnie nie żałuje tego. A więc mamy tu konflikt żołnierza podporządkowanego dyscyplinie i człowieka, który buntuje się przeciwko prawom zbiorowości w imię spokoju własnego sumienia. Bożek nie jest pewien, czy o tego decyzję zadecydowało poczucie etyczne, czy też własna gnuśność i lenistwo. To go dręczą. Tego jednak można się tylko domyśleć, gdyż reżyser nigdzie nie stawia kropek nad „i”.

Kutz postępuje tu w myśl

de wizy: lepiej mądrze milczeć, niż głupio mówić. Milczy więc na tematy najważniejsze. Pozwala w spokoju kontemplować walory formalne filmu: robotę reżysera, przemysłany dialog i zdjęcia, świetny podkład muzyczny, wreszcie grę aktorów.

Szczególnie wyróżniają się KRAFTOWA i FOGIEL, nieomylny w gestach, bardzo chłopięcy Boukolowski. Nieluznie zarzuca się reżyserowi niejasność w prowadzeniu akcji. Aż do sceny spotkania w polu (nie wiemy w pewnej chwili, czy Bożek ginie — czy zgwałcił jego przesławowcy) — akcja jest zupełnie klarowna, rozwija się według wszelkich prawideł konstrukcji dramatycznej. Dopiero pod koniec zaczyna się gmatwać a w dca ma wrażenie, iż ani reżyser ani scenarzysta nie bardzo wiedzą, jak rozwiązać pozorne konflikty, jak je spointować.

Na szczęście w tym momencie w sukurs reżyserowi i scenarzyście przychodzi operator — Jerzy Wójcik. Wydaje się, że teraz on przejmie inicjatywę. Aktorzy zmieniają swoją funkcję, nie grają, lecz raczej pozuja do zdjęć. Ustawiają się profilem i en-face, chodzą jakby we śnie somnambulicznie. Forma wybiją się na pierwszy plan i w dca przyjmujemy to z ulgą, bo akcja zaczęła go już nużyć; powtarzają

się spotkania, podobne są gesty, te same scenerie. Ak- torzy drepczą w kółko po własnych śladach. Wobec świetnych ujęć, treść przedstawia, być może, uwagę widza pochłania to, np. takie ujęcia: smola kapie z dachu — wydłuża się w nieskończoność... kształtem przypomina rękę. Jest w tym jakaś nadreplistyczna symbolika, mimo że operator sfo- tografował rzecz całkiem realną.

Mimo niewątpliwych wartości, film Kutza nie ma i nie będzie miał powodzenia. Nie dlatego nawet, że nie angażuje widza, nie każe mu niczego przeżywać, nie budzi zainteresowania losami bohaterów. Po prostu brak to chwytów, które niektórzy recenzenci nazywają „szantażem moralnym”, brak tu w ogóle jakiegos istotnego konfliktu — a to z góry skazuje film na porażkę.

W „Nikt nie woła” — treść i forma rozmięły się. Dawniej nazwalibyśmy ten film formalistycznym. A jednak doskonałość formy, warsztatu Kutza i Wójcika — w tym jednym konkretnym wypadku odbiera epitetowi „formalizm” znaczenie pejoratywne.

Wbrew wszystkiemu — przylaczam się do grona zwolenników filmu „Nikt nie woła”

TERESA ZWIERZCHOWSKA



Greta Garbo — powróci na nasze ekrany we wznowionym filmie amerykańskim „Dama Kameliowa”

## „Rekiny finansjery”

Polski tytuł za bardzo narzuca widzowi wnioski i chyba swoją sloganową wymową uprzęda do filmu reżysera Denysa de la Petellere — „Les grandes familles” („Wielkie rodziny”).

Scenarzysta i reżyser trafnie poddali selekcji bogaty materiał obserwacyjny dotyczący najbogatszej i najbardziej wpływowej klasy społeczeństwa francuskiego. Poddali analizie stosunki rodzinne klasy kapitalistycznej na przykładzie wielkiej rodziny z tytułami i rozetkami Le-gię Honorowej w kłapach. Na czele takiej „rodzinki” stoi człowiek rozsądny, skrupulatny, przebiegły i bezkompromisowy w walce o pieniądze.

Jest w tym filmie próba krytyki niestety chyba celowo zlagodzona przeczuciem uwagi widza z aspektów społecznych filmu na walkę osobistą między dwoma kuzynami, walkę przypominającą mecz bokserski, na którym widz staje się zaciętym kibicem kapitalisty-zawodnika, a bardziej sprytnego i wyrafinowanego w swych metodach. Rodzynkiem dla widzów wydaje się być również melodramatyczny wątek o synu bogacza, jego żonie i dziecku.

Denys de la Petellere nadal filmowł dobre tempo, logiczną narrację i obsadził główne role znakomitościami francuskiego filmu i teatru tej miary co: Jean Gabin, Pierre Brasseur, Bernard Blier, Jean Murat. Stworzyli oni świetnie zindywidualizowane fizycznie i psychicznie typy ludzi przebiegłych i chytrych, bezna-dziejnie głupich i bezczelnych w samym kabotyń-źmie i pozerstwie.

A. NIEŚMIAŁEK

P.S. Mała ciekawostka: w epizodycznej roli sekretarki, po raz pierwszy zado-biutowała tym filmem Emanuele Riva, późniejsza znakomita odtwórczyni głównej roli w filmie Resnaisa „Horszuma, moja miłość”.

A. N.

## JURAND — najlepsza postać filmowych „KRZYŻAKÓW”

Nasza „Mikro-ankieta” na temat bohaterów filmowej wersji „Krzyżaków” — spotkała się z żywym oddźwiękiem czytelników: nadeszło blisko 100 kuponów ankietowych.

Rzecz ciekawa, że odpowiedzi wykazały znaczną ednomyślność uczestników ankietki. Świadczą o tym przede wszystkim noty oceniające postać Juranda. Ani jeden dosłownie ani jeden z głosujących nie dał Jurandowi oceny niższej — aż bardzo dobrze (5), wiele

osób stawiało nawet „piątkę z plusem”. Tak więc w naszej ankiecie zwyciężył bezapelacyjnie Jurand, uzyskując 488 pkt. (przeciętna — 5,2 pkt.). Wykonawcy tej roli — Andrzejowi Szalawskiemu — serdecznie gratulujemy.

A oto pozostałe wyniki: Maćko (Aleksander Fogiel) — łączna suma ocen 426 (przeciętna 4,5). Prawie tak samo oceniono trzy dalsze postaci: Jagienka (Urszula Modrzyńska 420 pkt.), Zbyszko (Mieczysław Kalenik)

— 416, JagieHo (Emil Kurewicz) — 413 pkt. Bardzo wyrównane oceny — w sumie na „dobrze z plusem”. Najniżej oceniono postać Danusi (358 pkt. — przeciętna 3,7).

W naszym plebiscycie nie staraliśmy się sugerować by czytelnicy oceniali grę aktorską, chodzilo o najbardziej ogólna wyrażenie opinii, w jakiej mierze postaci filmowe spełniają nasze wyobrażenia o bohaterach z książki Senkiewicza. Tak się jednak stało — że wy- ni-

ki ankietki potwierdziły całkowicie opinie fachowej krytyki, oceniającej wykonawstwo poszczególnych ról. Nagrody książkowe wylosowali:

B. Jozefowicz, Ocieski J. Miecinski, Pabianice L. Tuszkiewicz, Pabianice

E. Kowalska, Łódź-Baluty I. Kuźnik, Łódź

Uczestnikom plebiscytu dziękujemy — i zapraszamy do udziału w następnych ankie ach, które niebawem oglosimy.

